

– Bywało, że nasza pani ją biła – powiedziała Grubaska, patrząc w bok. – Zamykała ją w pokoju i biła paskiem ze sprzączką, ja tylko słyszałam krzyki dziewczynki i dalej gotowałam, coś więcej mogłam zrobić?

Ciotka Isabelle paliła dalej, patrząc przez okno na morze.

Grubaska ciągnęła:

– Bo ona urodziła się zdurniała, myślę, że to dlatego.

– Zdurniała?

– Przygłupia. No wie pani, upośledzona.

– I dlatego co?

– Dlatego pani siostra traciła cierpliwość, dlatego ją biła i dlatego trzymała ją całe życie w zamknięciu.

– Ale to są poparzenia. Bić dziecko to już wystarczająco okropne, ale przypalać papierosem? Trzeba zamykać takich, co przypalają dzieci.

Grubaska nie odpowiedziała.

Po chwili wymamrotała:

– Powiem pani coś. Jak ktoś śpi zwinięty na ziemi, tak jak ta mała, to mogą pogryźć go karaluchy. Część blizn może być z tego.

Ciotka parsknęła. Miała jeszcze jedno pytanie.

– Gdy moja siostra umierała, kazała ci przyprowadzić dziewczynkę, żeby się pożegnać?

Grubaska spuściła wzrok:

– Proszę wybaczyć, że to mówię, ale pani siostra była bardzo surowa. Umarła w samotności. Po wylewie była już bardzo zesztywniała, chodziła w dziwny sposób, najpierw jedna noga, a druga dopiero po długiej chwili, ręce miała zdrętwiałe i nawet oddychanie przychodziło jej z trudem. Kazała 2 mężczyznom z przetwórnicy posadzić się w jeepie i pojechała drogą na wzgórze. Zdaniem policji ślady wskazywały, że na stromym zakręcie skręciła w prawo, tak jakby była tam jakaś droga.

Ciotka poprosiła:

– Mów dalej, Grubasko.

– Nie ma wiele więcej do opowiadania. Później znaleziono jej szkielet w głębi wąwozu, między opuncjami, same kości. I to też niekompletne. Klatka piersiowa, czaszka, kości przedramion i kosteczki

palców jednej ręki. Nic więcej. Ciało musiały zjeść sępy, a resztę kości zabrały pewnie kojoty.

– To rodzinne – powiedziała ciotka Isabelle.

– Co takiego, proszę pani?

– Ta surowość. Pogrzebano te kości?

– Pochowaliśmy je w ogrodzie, ale na nagrobku jest tylko jej imię. Nie umieściliśmy krzyża ani niczego innego. Nie znaliśmy wyznania naszej pani.

– Nie miała żadnego – powiedziała ciotka Isabelle. – My, rodzina Nieto, nie jesteśmy wierzący. A teraz zastanów się dobrze, zanim odpowiesz, Grubasko.

– Dobrze, proszę pani.

– To córka mojej siostry, prawda?

– Stworzenie?

– Tak, stworzenie.

Grubaska nie odpowiadała przez chwilę.

– Nie – powiedziała w końcu. – Niby skąd? Którego dnia w końcu wspomniałaby o tym, nie sądzi pani? A nigdy nic nie wspominała.

Kiedy moja ciotka pogodziła się z myślą, że stworzenie było jej siostrzenicą? Tego nie wiem. Ale się pogodziła i postawiła sobie za cel, żeby zrobić z niego człowieka.

Na początek podjęła starania, żeby dziewczynka wypowiedziała pierwsze słowo:

– Ja.

– Ja.

– Ja.

Brała ją za rękę i prowadziła na plażę, rozkładała na rozgrzanym piasku czerwony koc i sadzała ją na nim, z kolanami pod brodą, a stworzenie miało powtarzać „Ja, Ja” na przekór wiatrowi i morzu.

W ten oto sposób przyszedł na świat Ja. 21 sierpnia 1978, w obliczu morza, krzycząc ile sił w płucach: „Ja”, całkowicie ukształtowana i łysa, w podkolanówkach i rzemykowych sandałkach.

Ty.

Ciotka mówi, że równie trudno było nauczyć mnie kolejnego słowa:

– Ty.

Sadzała mnie głodną przy drewnianym kuchennym stole i siadała naprzeciw mnie z talerzem łuskanych orzechów.

Wskazywała na swoją pierś i mówiła:

– Ty.

– Ty – mówiłam Ja.

Podawała mi jeden orzech, który Ja przeżuwałam naprędce.

– Jeszcze raz – mówiła. – Ja? – pytała, wskazując na samą siebie.

– Nie – protestowałam Ja, wskazując na swoją pierś. – JA!

Nie dawała mi orzecha, a moje wnętrzności skręcały się z głodu.

– Ty – mówiła, wskazując na mnie.

Szalałam z wściekłości.

– JA! – krzyczałam, uderzając się pięścią w pierś. – JA, JA, JA!

– Nie, ty jesteś ty dla ja, a ja jestem ja dla ja – obstawała ona. – Nie histeryzuj.

Ale histeryzowałam, ogromnie i niesłuchanie. Rzucalam krzesłem, krzycząc, i kopałam w nogę od stołu 1, 3, 30 razy, nie przestając krzyczeć, podczas gdy ciotka, siedząc przy trzęsącym się stole, przyglądała się albo zaczynała czytać gazetę, póki sama nie krzyknęła:

– NATYCHMIAST siadaj!

A Ja siadałam, dysząc wciąż jeszcze z wściekłości.

Jednak czasami moja wściekłość była zbyt wielka. Kiedy ciotka krzyczała, Ja sięgałam na półkę, chwytalam szklankę i ciskałam nią w okno, które roztrzaskiwało się na tysiąc kawałków. Podczas gdy Ja próbowałam ukraść talerz z orzechami, ciotka wyrwała mi go, orzechy spadały na ziemię, a Ja rzucałam się do ich zbierania. Ciotka obejmowała mnie w pasie i podnosiła z podłogi, a Ja wyłam jak stado głodniałych psów.

Czego, do jasnej cholery, chciała ode mnie, tego nie potrafiłam zrozumieć.

Uciekałam z jej objęć na plażę, upadałam na kolana i podnosiłam do ust garść piasku. Gorącego i słonego piasku. Nim zdążyłam polizać go drugi raz, ciotka już tam była, by wytrącić mi go z ręki.

Kazała mnie pilnować chłopcu na posyłki, gotowemu kopnąć mnie w pięść, ilekroć podnosiłam piasek do ust, a Ja traciłam siły, płacząc i wyjąc, kiwając się w przód i w tył, ze strużką śliny w kącikach ust.

Dopóki nie wyparowałam, dopóki nie znikłam.

Wystarczy, że przypomnę sobie te nasze lekcje o Ja i Ty, a od razu boli mnie głowa.

Wyznam też 2 rzeczy.

1. Nawet dziś, po 32 latach, wciąż wątpię, że ktoś inny niż Ja może naprawdę być Ja,
- a także
2. dźwięk tłuczonego szkła, roztrzaskiwanego na tysiąc przezroczystych kawałków, nadal jest dla mnie najpiękniejszym hałasem na świecie.

Ciotka jednak wciąż upierała się, by zrobić ze mnie człowieka. Albo przynajmniej coś, co mogłoby za człowieka uchodzić.

Sama nie wiem, jak wpadła na pomysł z podłączeniem do prądu. Kazała przynieść sobie wielometrowy kabel elektryczny z wtyczką z czarnego plastiku na jednym końcu i z 3 drucianymi przewodami na drugim: czerwonym, żółtym i niebieskim.



Przewiązywała mi kabel w pasie spodni, a wtyczkę podłączała do gniazdka w ścianie. Tak odbywałyśmy lekcje. Jeśli próbowałam uciekać, żeby się rozpląnąć, krzyczała, że jestem podłączona, że jestem uwięziona, ciągnęła za kabel, a Ja wracałam.

Jakim cudem to działało, tego nie wiem, ale działało. Przypuszczam, że już zdążyłam zrozumieć, że sokowirówka czy odkurzacze działały i wydawały swoje groźne dźwięki, jeśli były podłączone do prądu, a Ja nie uważałam się za różną od sokowirówki czy odkurzacza.

W ten sposób, podłączona w pasie do gniazdka, mogłam zaryzykować samotne wędrówki po domu, od pokoju do pokoju, nie wpadając w panikę za każdym razem, gdy napotykałam coś dziwnego, jak choćby murarza na drabinie bielącego ściany, i nie zatracić się, jak tego dnia, kiedy śledząc na czworakach mrówki, zupełnie zapomniałam o swoim istnieniu.

Obudziło mnie wtedy kilka kuksańców w głowę i ocknęłam się, gdy na moją twarz padło światło latarki. Była już noc. Ja siedziałam na nieznanej plaży, cała w mrówkach, od zmierzwionej czupryny aż po palce u nóg, a czyjś głos szeptał: da da da da.

Głos kogoś, kim byłam Ja sama.

Z biegiem czasu, w obliczu nieuchronnego zniknięcia lub napadu lęku, natychmiast chwytalam kabel obiema rękami i idąc jego tropem, wracałam do mojego gniazdka.

Potem przyszedł czas na kolejne słowa. Moje imię – Karen. Imię mojej ciotki (Isabelle) oraz imię Grubaski (Grubaska). A także: krzesło, stół, okno, podłoga, lampa.

Ciotka przyklejała do przedmiotów kolorowe karteczki i zapisywała na nich ich nazwy, żeby zapamiętać, jak ona sama je nazywała. Ale wydarzyło się coś niezwykłego.

Pewnego dnia powiedziałam:

– Podłoga – i palcem wskazującym narysowałam w powietrzu słowo: p o d ł o g a.

Ciotka otworzyła usta ze zdumienia.

Wskazała na krzesło, a Ja powiedziałam:

– Krzesło – i narysowałam w powietrzu: k r z e s ł o.

Tego wieczoru ciotka wyprawiła przyjęcie z ciastem i mlekiem dla Grubaski, chłopca na posyłki i mnie. Statystycznie rzecz biorąc, nauka mówienia, czytania i pisania nie jest wielkim wyczynem, kiedy ma się więcej niż metr wzrostu, jednak dla mnie i dla ciotki było to coś niezwykłego.

Pokazała mi, jak trzymać ołówek na kartce papieru, i okazało się, że to prawda – zapamiętałam litery w nazwach przedmiotów i wypełniałam niezliczone kartki moim pismem, które było niezgrabną i kuloniastą kopią pisma ciotki.

Dom wypełnił się kolorowymi karteczkami. Na drzwiach. Na hamakach. W kuchni każda rzecz miała swoją etykietkę i w trakcie gotowania Grubaska odklejała je, żeby pozmywać, a potem przyklejała na nowo. Nawet kierowca, ogrodnik i chłopiec na posyłki nosili na piersi etykietki, na których było napisane: kierowca, ogrodnik i chłopiec na posyłki. A mój pokój na piętrze, niedaleko pokoju ciotki, był zawsze usłany kartkami pełnymi pojedynczych słów.

Kiedy ciotka kupiła kolorowe etykietki z plastiku, nazwy zaczęły pojawiać się na dworze. Pewnego popołudnia ciotka wyszła na balkon i zobaczyła etykietki na wodzie pośrodku sadzawki, po jednej na każdym pniu jesionu, awokado i wierzy, na niektórych gałęziach i liściach, w gnieździe, na najwyższej gałęzi najwyższej wierzy w ogrodzie. Dostrzegła nawet czarnego ptaka z czerwoną piersią i żółtą etykietką wokół nogi, na której z pewnością było napisane: r u d z i k.

To było coś niezwykłego, dla mojej ciotki i dla mnie, dopóki na dobre nie zaufałam słowom i nie stało się to istną udręką. Nie wiedzieć kiedy zaczęłam mówić bez przerwy. Łączyć wyrazy bez ładu i składu.

Krzesło róża mięso lodówka sokowirówka okno dzień. Okno noc latarnia reflektor księżyc czarny motyl.

Wybuchalam śmiechem i okłaskiwałam sama siebie po każdym ciągu słów.

Ciotka kupiła radio, które było włączone przez cały czas, i nie myliła się – zaczęłam wszystko powtarzać. Pogoda prognozowana na

ten zimowy wieczór, zimowy wieczór, to odrobina deszczu i słońce,  
i słońce, zachmurzenie umiarkowane, umiarkowane.

Powtarzam te same słowa za sprawą echolalii, nad którą nigdy nie udało mi się do końca zapanować – to rodzaj echa, które przydarza mi się czasem, kiedy mówię.

Budziło mnie własne gadanie. Gubernator zdecydował o otwarciu tamy, tamy w południowo-wschodniej części kraju, na użytek społeczności rdzennych, które tam, które tam zamieszkują, a teraz przerwa na reklamy naszych sponsorów, zawsze Coca-Cola.

– Co to znaczy tama? I południowo-wschodni? I społeczności? I przerwa? – próbowałam wyciągać z ciotki siedzącej w bibliotece przy maszynie do pisania.

Któregoś dnia pokazała mi ogromną książkę otwartą na drewnianym pulpicie.

- Tutaj są wszystkie rzeczy, które istnieją na świecie – powiedziała.

Był to ogromny słownik dziadka, oprawiony w skórę koloru kawy z mlekiem, o cieniutkich kartkach pełnych malusieńkich liter, w którym, rzecz jasna, nie było wszystkich rzeczy, które istniały na świecie, lecz jedynie ich nazwy i dużo kolorowych obrazków.

Mówię o tym, bo to duża różnica między mną a ciotką – ona uważa, że słowa to rzeczy, które istnieją. Ja natomiast wiem, że to tylko zlepki dźwięków, bo rzeczy, które istnieją, nie potrzebują słów, żeby istnieć.

Tak czy inaczej, pulpit z ogromnym słownikiem stał się miejscem, w którym siedziałam spokojnie. Przystawałam mówić tylko wtedy, gdy z rozdziawioną buzią szukałam jakiegoś słowa na jego stronnicach albo gdy zniktałam, albo gdy spałam, co też jest rodzajem zniknięcia, tyle że w pozycji horyzontalnej.

Krótko mówiąc, byłam maszyną do gadania, dwunożnym radio-odbiornikiem. Zasyślałam, mówiąc i śmiejąc się z wyrazów, które wydawały mi się zabawne, i jak już mówiłam, budziło mnie moje własne gadanie. Byłam utrapieniem dla Grubaski i dla chłopca na posyłki, którzy ignorowali mnie, gdy tylko się zbliżałam, podczas gdy przestrzeń nappełniała się moim głosem.

– Gdybyś chociaż śpiewała te piosenki z radia – powiedziała Grubaska, wysypując worek ziemniaków na kuchenny blat.

Nie śpiewałam. Recytowałam słowa piosenek, które słyszałam w radiu, swoim nosowym i monotonnym głosem, bez cienia modulacji. Dlaczego odszedł, dlaczego umarł, dlaczego Bóg się na niego uparł, poszedł do nieba, z miłości chory, niech trwają wiecznie nasze amory.

- Amorry - powtórzyłam, obserwując, jak zwija się przez to mój język. - Amorryy - powtórzyłam znowu. - Amorryyyyyyy! - wybuchnęłam śmiechem.

**Grubaska zrezygnowana dalej obierała ziemniaki w zlewie.**

– Może już czas, żebyś poszła do szkoły – powiedziała ciotka.

Pierwszego dnia weszłam do klasy, zobaczyłam samych dziwnych małych ludzi i poszłam prosto do kąta. Dlatego nie wiem, jak wyglądał pierwszy tydzień lekcji, bo spędziłam go, wpatrując się w miejsce, gdzie spotykają się 2 ściany.

Cóż, było to przedziwne. Wyglądało tak, jakby zebrano wszystkie pocieszne dzieci z okolicy. Gwoli ścisłości, tak właśnie było – przyprawdzano tu wszystkie durne dzieci z Mazatlán i sąsiednich wiosek, katalogowano je i zapewniano im zajęcie.

Wszystkie dzieci były opóźnione umysłowo albo szalone. Albo szalone i opóźnione. Było 4 dzieci, które wyglądały jak Chińczycy, a które były, jak się później dowiedziałam, Mongołami, i które śmiały się ze wszystkiego i z niczego. Był wysoki i chudy wariat, który nagle zaczynał się trząść, jak gdyby naprawdę podłączono go do prądu, i upadał na ziemię, na co panna Alegria wkładała mu łyżkę do ust, a on spędzał kolejne godziny, tocząc pianę. Były trzęsaki, jak ich nazywano, 5 dzieci na wózkach inwalidzkich, którym z jednego boku wychodziła głowa, a z drugiego noga i które cały dzień potrząsały rękoma, jak gdyby próbowały się wachlować, ale ręce opadały im w dół. Była wreszcie opóźniona



dziewczynka, która przychodziła z kablem elektrycznym przewiazanym w pasie i długo szukała najlepszego gniazdka, aż w końcu, już podłączona, spędzała czas, przyglądając się czerwonej kostce brukowej i żółtym ścianom patio. Tą wariatką od gniazdek byłam Ja.

Po czerwonym bruku zwykła spacerować biała kotka i wygrzewała się na słońcu. Czasami niebo przecinało stado mew. Albo jakaś mysz wspinała się błyskawicznie po pniu jedyne drzewa na patio, a Ja patrzyłam, jak skacze z gałęzi na gałąź, póki nie przeskoczyła jednym sussem za kolczaste ogrodzenie.

Wszystko to sprawiało, że spędzałam cały dzień oszołomiona i zaśliniona, z czołem przyklejonym do szyby okna.

Kiedy słońce grzało mocniej, szaleństwo wybuchało nagle i bez ostrzeżenia. Jedni wirowali wokół własnej osi, wrzeszcząc, elektryczny wariat przechodził przez swój napad drgawek, Mongołowie rzucali się na ziemię i kręcili w kółko, trzęsaki trzęsły się na swoich wózkach, Ja recytowałam na całe gardło dziennik radiowy, a panna Alegria wyjmowała robotkę i szydełkowała, siedząc najspokojniej w świetle na swoim krześle.

Szkoła zupełnie nie przypadła mi do gustu.

Wszyscy byli bardzo podobni do mnie, ale to nie ma nic do rzeczy. Ja niespecjalnie przypadam do gustu sobie samej.

Co rano kierowca siłą wyciągał mnie z furgonetki i trzymając w pasie, zanosił do szkoły, a Ja wierzgałam nogami, po czym zostawiał mnie na ławce, zapłakaną i zmęczoną, z włosami mokrymi od potu.

Panna Alegria uśmiechała się do mnie i mówiła:

– Dzień dobry, Karen, witaj.

Ale były też rzeczy ciekawe. Zanurzaliśmy ręce w pojemnikach z farbą i malowaliśmy ściany dłońmi. Uczono nas wiązać sznurówadła tenisówek. Albo wkładać skarpetki. Najpierw wkładać skarpetki, a potem tenisówki, co jest bardziej słuszne.

Wyprowadzano nas na ulicę w szeregu, poprzywiązywanych do siebie sprężynami, i musieliśmy czytać nazwy ulic albo czekać na zielone światło, żeby przejść na drugą stronę jezdni.

Albo chodziliśmy do muzeum uczyć się korzystania z toalety w miejscach publicznych. Kobiety do toalety damskiej, a mężczyźni do męskiej, to bardzo ważne, żeby się nie pomylić, mówiła panna Alegria. I trzeba było wypróżniać się i oddawać mocz do muszli klozetowej, nie poza nią.

– Tutaj też nie można się pomylić – mówiła pani.

Było straszne zamieszanie, bo Mongołowie rozciągali papier toaletowy po całej toalecie. Albo elektryczny wkładał penisa w jakąś dziurę w mozaikowej ścianie i trząsł się przy niej, póki nie wypuścił z siebie białego zawiesistego płynu, a jego oczy nie zaszyły mgłą. Albo któryś trzęsak opryskiwał lustro moczem, używając penisa, który miał 15 centymetrów i był jak wąż ogrodowy. Albo wreszcie niestrudzeni Mongołowie rozlewali po mozaikowej podłodze mydło w płynie i wołali nas wszystkich, mężczyzn i kobiety, do toalety wybryków i ślizgaliśmy się od ściany do ściany po podłodze całej w spienionych mydlinach.

W ten oto sposób poznaliśmy wszystkie muzea w Mazatlán, a jest ich w sumie 4.

Muzeum Folkloru w Mazatlán, gdzie w oszklonych gablotkach przechowuje się skórzane sandały, grzechotki, garnki, gliniane małpki i tym podobne rzeczy. Muzeum Archeologiczne w Mazatlán, gdzie w oszklonych gablotkach przechowuje się skórzane sandały, garnki, gliniane małpki, ale wszystkie bardzo stare. Muzeum Zasłużonych Burmistrzów Mazatlán, gdzie przechowuje się stare ubrania i stare papiery, a gdzie nigdy nie widzieliśmy nikogo innego prócz staruszka, który tam pilnował i chodził za nami od sali do sali, zupełnie jakby chciał przyłączyć się do naszej zdurniałej grupki, ale którego przy wyjściu z muzeum panna Alegria zawsze odsyłała z powrotem do środka. I wreszcie Muzeum Przyrodnicze w Mazatlán, ciemne miejsce pełne martwych zwierząt z pazurami na wierzchu i w podświetlonych witrynach, które całą grupę durniów i wariatów doprowadzały do łez, a mnie wprawiały w poczucie pustki i przerażenia.

Z panną Alegrią na czele, związani sprężystym, białym sznurem, szliśmy przez muzea w kierunku tego, co tak naprawdę interesowało pannę Alegrię – publicznych toalet. Pamiętam, że na widok tyłu błyszczących szklanych gablotek i witryn ogarniała mnie ochota, by co nieco potłuc.

Nigdy nie rozbiłam żadnej szyby w muzeum, ale nawet teraz, gdy będąc dorosłą, odwiedzam jakieś muzeum, pokusa zaciska mi pięści i sprawia, że się ślinię.

Ale wróćmy do panny Alegrii.

Panna Alegria z nieskończoną cierpliwością mniszki uczyła nas, że wszystko to, co człowiek robi od pasa w dół, powinien robić potajemnie, w samotności.

– Jak to robimy?

– W samotności! – darliśmy się jednocześnie jak wariaci.

– Bo wszystko, co człowiek robi z tą częścią ciała, jest brzydkie. Brzydkie – powtarzała. – Jakie jest?

– Brzydkie! – wrzeszczeliśmy wszyscy.

– A komu się mówi o brzydkich rzeczach?

– Nikomu! – krzyczeliśmy jak chór niedorozwojów, którym to faktycznie byliśmy.

– A gdzie są 2 zakazane części ciała?

Wszyscy łapaliśmy się za krocze, najpierw z przodu, a potem wskazywaliśmy palcem między pośladki, żeby pokazać odbyt.

– Bardzo ładnie – gratulowała nam panna Alegria.

Wydaje mi się, że trzymano nas w szkole wyłącznie po to, żeby w domach mogli od nas odpocząć.

Czasem uciekałam z klasy na patio i łapałam białą kotkę. Kotka miała mnóstwo sierści, zawsze czystej i białej, uszy o różowych koniuszkach i różowe łapki. Siadałam na bruku i drapałam ją po grzbiecie i po brzuchu, a kotka miauczała. Kładłam się na ziemi twarzą do słońca, a ona chodziła po mnie swoimi spiczastymi łapkami i wtedy miauczałam Ja.

Panna Alegria wołała mnie do klasy, a kotka szła za mną, wijąc się między moimi nogami tak, żebym jej nie zgmiotła, stawiając kolejne kroki.

Zaprzyjaźniłyśmy się. Gdy siadałam na krześle, ona sadowiła się na moich kolanach, wciskała się pod moją koszulę, żeby zlizywać mi

pot ze skóry, a potem wychodziła dekoltem i siadała na mojej głowie, jak ciężki kapelusz.

Pewnego poranka Mongołowi numer 3 przyszło do głowy ciągać ją za ogon po całej klasie, jak gdyby wycierał nią podłogę, choć kotka piszczala jak oszalała. Zaserwowałam mongolskiemu idiocie potężny cios w głowę, który powalił go na ziemię, a Ja ciągnęłam go za nogę po całej klasie, jakby był szczotką do podłogi, choć też pisał jak szalony.

Taki był początek trudnej do wyjaśnienia historii.

Oto pewnego popołudnia, już w domu ciotki, znalazłam w salonie, na czarnym kwadracie marmurowej posadzki, białą kotkę z głową przechyloną w bok i jasnoniebieskimi oczami.

Ciotka Isabelle pytała mnie wielokrotnie:

– Jak ta biała kotka się tu znalazła?

– Nie mam pojęcia – odpowiadałam za każdym razem.

– Karen, jak ona się tu znalazła? Skup się! Ukradłaś ją? Przyszła za tobą?

– Nie mam pojęcia!

– Tylko mi nie mów, że przeszła sama przez pół Mazatlán i znalazła twój dom!

– NIE MAM POJĘCIA! – krzyknęłam.

Ciotka wie, że Ja nie kłamię. Nie żebym nie chciała, po prostu nie umiem. Jak dowiedziałam się wiele lat później, nie mam połączeń nerwowych odpowiedzialnych za kłamanie.

Dlatego ciotka nie naciskała.

Od tego momentu pewne rzeczy, które bardzo, bardzo mi się podobają, pojawiają się w moim domu. To jedyna rzecz, co do której mam szczęście.

Ciotka zapytała mnie, jakie imię nadamy kotce, i powiedziałam:

– Ty.

– To nieodpowiednie imię – odparła ciotka.

Grubaska proponowała inne – Nunutsi – które w *huichol*, ojczystym języku Grubaski, oznacza małą dziewczynkę. Ciotka przytaknęła Grubasce skinieniem głowy i zwróciła się do mnie:

– Teraz to ona jest małą dziewczynką, a ty już nie.



Wieczorami czytałam książki mojego pradziadka. Prawie nic nie rozumiałam, ale chodziło mi tylko o nowe słowa. Każdy nowy wyraz zapisywałam na kartce swoim niezgrabnym pismem, a następnie zatrzymywałam się przy pulpicie ze słownikiem, żeby go odszukać. Potem za pomocą pinezek przypinałam kartki z nowymi słowami na ścianach swojego pokoju.

Te, które najbardziej mi się podobały i które dalej najbardziej mi się podobają, to rzeczowniki, to jest nazwy tych rzeczy, które są najbardziej. Rzeczy, które można złapać, usłyszeć, powąchać, a które czasem dodatkowo mają wdzięk istot żywych, jak ptaki, kory, ryby, mrówki, żółwie.

Bardzo lubię też nazwy kolorów, które są tymi rzeczami, których prawie nie ma. To znaczy ledwo istnieją. Pomiędzy bytem a niebytem, są jak cud. Zielony, niebieski, żółty, czarny, biały, czerwony. Bardzo śmieszy mnie to, że kolory są, choć z łatwością mogłyby przestać być.

Jednak odmiana czasowników w czasie przyszłym mnie przerasta. Jak można mówić o czasie, który nie istnieje i o którym nikt nie wie, jaki będzie, kiedy będzie istniał? Jakaś część mnie była niezdolna do myślenia w czasie przyszłym. Ta sama luka, która nie pozwala mi kłamać.

Co noc, leżąc w łóżku, czytałam na głos słowa z kartek przypiętych do ściany, aby ostatecznie stały się one częścią Ja, dopóki nie zamykały mi się oczy.

Pewnego popołudnia siedziałam w bibliotece pradziadka razem z ciotką. W bibliotece o 4 wysokich ścianach przykrytych książkami i z dużym stołem pośrodku. W pewnej chwili zdałam sobie sprawę, że ciotka przestała uderzać palcami w klawisze maszyny do pisania i obszerekwowała, jak Ja czytam.

Palcem wskazującym śledziłam wiersz tekstu, ołówkiem podkreślałam jakieś słowo, podchodziłam do pulpitu i przerzucałam strony ogromnego słownika pradziadka, odnajdowałam słowo, zapisywałam je powoli i niezgrabnie na kartce, a potem wracałam do książki i kładłam kartkę z nowym słowem na stosie innych.

– Co czytasz? – zapytała ciotka.

– *Małe kobiety* Louisy M. Alcott.

– To pierwsza książka, jaką przeczytałam – powiedziała ciotka z zadowoleniem. – Pokaż.

Podalam jej książkę. Obróciła ją w dłoniach. Zielona oprawa książki była już mocno zużyta, a kartki pożółkłe. Przewertowała je. Poglądziła jedną ze stron ze szczególną czułością.

– Tak, to moja książka – wyszeptła. – Podoba ci się, Karen?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz? No dobrze, Karen, powiedz mi, o czym jest ta książka?

– O... dziewczynce, która ma na imię Jo...

– Dobrze.

– Ma narzeczonego i obcina sobie warkocz, żeby go sprzedać i kupić jedzenie dla swojej rodziny, która jest głodna. Wtedy jej siostra, która jest ładniejsza od Jo, wychodzi za mąż za jej narzeczonego, który jest bardzo bogaty. To wszystko.

– Ale opowiedz mi całą historię, Karen.

– To jest cała historia – powiedziałam, czując narastające napięcie.

– A co powiesz o wydarzeniach, które dzieją się w międzyczasie?

– Tylko dzieją się w międzyczasie, nie są do niczego potrzebne, a jak się je opuści, historia pozostaje taka sama.

Ciotka rozmyślała nad tym, mrużąc oczy. Robi w ten sposób, kiedy myśli o czymś naprawdę mocno. Wreszcie rzekła:

– Rzeczywiście, masz rację. Twoja inteligencja jest naprawdę wyjątkowa, wiesz? Ale powiedz mi coś więcej. Podoba ci się ta książka?

– Podoba? – zapytałam, bo nie zrozumiałam pytania.

– Co czujesz, kiedy ją czytasz?

– Że ją czytam – odparłam, wpadając już w złość.

– Nie czujesz czasem smutku? Nie chce ci się płakać?

– NIE! – uderzyłam pięścią w stół.

Oczy ciotki napełniły się łzami.

– Ty nic nie czujesz – powiedziała cicho.

To akurat przesada, coś tam przecież czuję. Teraz, 28 lat później, gdy przypominam sobie i zapisuję słowa ciotki, już wiem, co jej

odpowiedzieć. Czuję strach, i to nieprzerwanie. Czuję radość, zawsze gdy dzieje się coś radosnego. I czuję ból, gdy mnie biją albo gdy sama się o coś uderzę.

Gdy zapada noc, czuję senność i głód, kiedy jestem głodna.

Ale to prawda, nie wydaje mi się, żebym czuła te wszystkie skomplikowane i fantazyjne rzeczy, które czują ludzie standardowi.

Standardowy: normalny, typowy.

Ludzie standardowi: ludzie mieszczący się w ramach normy.

Nie czuję tych tysięcy i jednej rzeczy, które przydarzają się im gdzieś pomiędzy bólem, strachem a radością albo między głodem a sennością. Co więcej, uważam, że mam w tym nad nimi przewagę.

Wiem, że jestem ociężała umysłowo, przynajmniej w porównaniu z ludźmi standardowymi. Wiem, że w testach IQ plasuję się gdzieś pomiędzy idiotami a imbecylami, ale mam 3 poważne zalety.

1. Nie umiem kłamać.
2. Nie mam wyobraźni. To znaczy nie bolą mnie ani nie martwią rzeczy, które nie istnieją.
3. Wiem, że wiem tylko to, co wiem, i jestem pewna, że nie wiem tego, czego nie wiem, a jest tego dużo więcej.

To właśnie, jak już mówiłam, z czasem dało mi wielką przewagę nad ludźmi standardowymi.

Ciotka nadal mi się przyglądała. Przestała płakać, ale wciąż zaciskała prawą dłoń na ramieniu, jakby naprawdę ją ktoś uderzył.

Powiedziała:

– Karen, posłuchaj i nigdy o tym nie zapomnij. Nie pozwól, by kiedykolwiek ktokolwiek mówił ci, że jesteś gorsza. Nie jesteś gorsza, tylko inna. Zrozumiano, Karen?

Odpowiedziałam:

– Ciociu, idę się wysrać.

Poszłam do łazienki, ale ledwo wyszłam z biblioteki, natknęłam się na kotkę i zawołałam: „Nunutsi!”. Schyliłam się, żeby trącić nosem jej nos, a ona jednym susem wskoczyła na moje ramię. Kątem oka zobaczyłam ciotkę, wciąż mrużącą oczy, by nie przegapić żadnego szczegółu z tego, jak Ja drapałam kotkę po brzuchu, a ona

lizła mnie po twarzy. W końcu, z kotką na ramieniu, poszłam się wysrać.

Kiedy wróciłam, ciotka Isabelle już zdecydowała o tym, jak będzie wyglądała reszta mojego życia.

Miałam nie wracać więcej do szkoły dla durniów, popołudniami prywatny nauczyciel miał uczyć mnie tylko tego, co mnie interesowało, a rano miałam chodzić do przetwórni tuńczyka.

– Podoba ci się taki plan? – zapytała ciotka.

– Nie mam pojęcia – powiedziałam Ja.

– Chodź tutaj – powiedziała ona.

Objęła mnie, a Ja zesztywniałam cała w jej ramionach.



Inżynier Rodrigo Peña, dyrektor generalny Tuńczyków Pocięcha SA, nosił okulary w grubych oprawkach, o szklach jak denka od butelek, i przepoconą pod pachami koszulę z krótkim rękawem. Rozmawiając ze mną, był zajęty umieszczaniem 3 ołówków na środku biurka, rozkładaniem ich po obu stronach i ponownym łączeniem, otwieraniem szuflady i wyjmowaniem kolejnych 3 ołówków, wkładaniem 2 do przybornika, a trzeciego do cudownej maszyny, z której ołówek wychodził naostrzony. Przyglądałam się temu wszystkiemu w zdumieniu, podczas gdy on, jak już mówiłam, nie przestawał mówić nie wiadomo o czym.

Myślę, że inżynier Peña był bardziej autystyczny niż Ja.

W końcu zapytał mnie, jakie jest moje zdanie na temat poważnego kryzysu, z którym w niedalekiej przyszłości będzie musiała zmierzyć się przetwórnia.

Skrzywiłam się.

On poglądził się po brodzie.

Powiedział:

– Rzecz jasna, trudno to oceniać na oślep.

Zapytał:

– A od czego chce pani zacząć swoje badania?

Ten prawdziwie autystyczny typ nie zdawał sobie sprawy, że Ja nie tylko jestem autystyczna, ale też mam dopiero 15 lat.

Z całą szczerością odpowiedziałam:

– Chcę sprawdzić, jak wyglądam w strojach roboczych.

Peña spojrzał na mnie z uwagą.

– Zaraz wracam – powiedział.

Wyszedł z biura, a Ja przez szybę zobaczyłam, jak telefonuje. Kiedy wrócił, powiedział:

– Dobrze, pani ciotka wyraziła zgodę, więc niech tak będzie – i wyciągnął do mnie rękę.

Powiedziałam:

– Nie podaję ręki, nie dotykam ludzi.

– Aha. Bardzo dobrze – powiedział i włożył rękę do kieszeni spodni.

Tak oto moją pierwszą pracą w przetwórnicy było przymierzanie wszystkich strojów.

Strój kierowcy ciężarówki. Szara koszulka z czerwonym napisem Tuńczyki Pocięcha SA na plecach.

Strój ładowacza skrzyń z puszkami tuńczyka. Który był identyczny jak strój kierowcy.

Strój pracownicy rozpruwającej lub patroszącej tuńczyki albo pracownicy z działu konserw. Cały biały, z eleganckimi dodatkami włącznie: plastikowym czepkiem na włosy, maską na twarz, fartuchem ze sztywnego plastiku, luźnymi spodniami wpuszczonymi w kalosze i rękawiczkami z lateksu w eleganckim różowym kolorze.

Strój marynarza. Biały podkoszulek, koszula, dżinsowe spodnie i białe kalosze.

Strój nurka. Skafander z neoprenu z cudownym złotym zamkiem błyskawicznym biegnącym przez środek, z zielonymi pletwami i zieloną maską, z ustnikiem, który przez rurkę łączy się z dużą pomarańczową butlą tlenową zakładaną na plecy.

Strój do nurkowania był odkryciem, które zmieniło moje życie. Neoprenowy skafander przylegał ciasno do mojej skóry, maska zakrywała oczy i nos, ustnik ledwo pozwalał mi oddychać, a ciężar butli wbił mnie w ziemię, ale wszystko to sprawiało, że nie wiedzieć czemu

czułam się pewna. Chroniona. Bezpieczna. W odpowiedniej odległości od standardowych istot ludzkich. Jednakowy nacisk na całe ciało sprawiał, że czułam się mocna.

Wszystkim w przetwórni mój strój do nurkowania także bardzo przypadł do gustu.

Kiedy spacerowałam po całej fabryce przebrana za nurka, stawiając wielkie kroki w zielonych żabich płetwach, pracownice śmiały się znad stołów do patroszenia tuńczyków, a cały dział księgowości podnosił głowy znad biurka i też się śmiał. Ładowacze na molo, którzy nosili pokryte solą tuńczyki z łodzi do magazynów, zatrzymywali się, a Ja przez maskę słyszałam ich śmiech.

W moim stroju do nurkowania tkwiła cała radość Tuńczyków Po-ciecha SA.

Pewnego dnia zobaczyłam na molo coś, co odmieniło moje życie. Wiem, wiem – nie dalej jak stronę temu napisałam, że strój do nurkowania zmienił moje życie, a jeszcze wcześniej, że praca w przetwórni dziadka zmieniła moje życie. Ale prawda jest taka, że w tym czasie moje życie co chwilę zmieniał się na zawsze.

3 marynarzy podniosło z kutra na molo miecznika i rzuciło go na mokry beton. Ryba wciąż się ruszała, uderzyła ogonem o beton, wygięła się, rozcapierzyła jedną, a potem drugą płetwę, a wszystko to, łapiąc z trudem powietrze.

Ja, przez maskę stroju do nurkowania, obserwowałam poczynania marynarzy. Na jeden stalowy hak nabili ogon wijącego się z bólu miecznika, a o drugi zaczęli jego pysk, z którego wydobywało się wściekle dyszenie.

Wtedy wielkimi krokami nadszedł inżynier Peña i z euforią nakazał przez radio, żeby przyniesiono aparat fotograficzny, a miecznikowi wymierzył 3 kopniaki butem.

– Nie chce gnida zdechnąć – usłyszałam przez maskę słowa Peñi. Marynarze i Peña zaśmiali się.

Peña dalej kopał rybę czubkiem buta. Mężczyźni zaczęli rozmawiać, patrząc sobie w oczy, poklepując się po ramionach i uśmiechając

się do siebie nawzajem, zamknięci w świecie ludzi standardowych, podczas gdy u naszych stóp miecznik nie przestawał dyszeć, a jego skrzela pulsowały szybko.

Świat ludzi standardowych: bańka, w której widzi i słyszy się tylko to, co ludzkie, i w której tylko to, co ludzkie, ma znaczenie, a wszystko inne to zaledwie krajobraz, towar albo pożywienie.

Ja trzęsłam się ze złości albo ze strachu, nie byłam tego pewna, z mocno bijącym sercem, walącym jak młot. Z chęcią palnęłabym ich wszystkich w łeb, ale wiedziałam, że nie byli jak ten Mongoł, którego powaliłam na ziemię jednym ciosem, żeby przestał krzywdzić białą kotkę – to było 5 mężczyzn, a każdy z nich silniejszy ode mnie.

Peña zauważył mnie stojącą na uboczu i ruchem ręki wskazał, bym podeszła. Nie ruszyłam się z miejsca, więc za łokieć zaciągnął mnie do swojego ludzkiego grona. Ale Ja, zamknięta w skafandrze do nurkowania, byłam bardzo daleko.

Wtedy właśnie, stojąc jednocześnie blisko i daleko od nich, zdałam sobie sprawę, że tak będzie już zawsze. Będę blisko ludzi, ale daleko od nich.

Wiele lat później, wiele słów później, wiele książek później, odkryłam na jednej z kart starej książki napisanej przez francuskiego filozofa zdanie, które ubiera w słowa moje oddalenie od ludzi.

*Myszę, więc jestem.*

Zdanie to wpawiło mnie w osłupienie, bo jest bez wątpienia niewiarygodne. Wystarczy mieć z oczu, żeby zauważyć, że wszystko, co istnieje, najpierw istnieje, a dopiero potem robi inne rzeczy.

Jednak najbardziej niewiarygodne jest to, że ów filozof wcale nie proponuje, by tak było, tylko ujmuje w słowa to, co ludzie uważają na swój temat. Że myślą, więc są.

Najgorsze przychodzi potem. Wierząc, że myślą, więc są, ludzie uznają, że wszystko to, co nie myśli, nie istnieje w pełni.

Drzewa, morze, ryby morskie, słońce, księżyc, wzgórza albo ogromny łańcuch górski – nie, nie istnieją w pełni, istnieją na



niższym poziomie egzystencji, gorszej egzystencji. Dlatego zasługują na to, by być dla ludzi towarem, pożywieniem albo krajobrazem i niczym więcej.

A kto utwierdza ludzi w przekonaniu, że myślenie jest działaniem najważniejszym we wszechświecie? Kto utwierdza ich w tym, że myślenie jest działaniem, które dzieli istoty na wyższe i niższe?

No tak, myślenie.

Ja natomiast nigdy nie zapominałam o tym, że najpierw istniałam, a potem, z wielkim mozolem, nauczyłam się myśleć.

I taka jest moja rzeczywistość każdego dnia. Najpierw jestem, a dopiero potem, tylko czasami i z trudem, i to jedynie wtedy, gdy jest to konieczne, myślę.

Cóż, to jest właśnie odległość, jaka dzieli mnie od ludzi.

W końcu podnieśli miecznika na podwieszaną uprzęż z czarnego metalu. Kapała z niego krew, a jego skrzela już nie pulsowały, jedynie chwilami odżywały, nadymały się i opadały, by w końcu zastygnąć w bezruchu.

Przyniesiono aparat i Peña zawołał nas, żebyśmy ustawili się pod martwą rybą, ustawiliśmy się, a ktoś zrobił nam zdjęcie.

W grudniu zdjęcie przyszło pocztą do domu ciotki wraz z nagłówkiem:

*Wesołych świąt Bożego Narodzenia życzy rodzina Peña.*

Kilka tygodni później, chyba w lutym, do przetworni przybyła minister rybołówstwa i podarowano jej srebrzyste zwłoki miecznika, przytworzone na całej długości do drewnianej płyty. Pani minister, która posiadała osobliwe uzębienie, 2 razy większe niż standardowe, przyjęła zwłoki z otwartymi ramionami i zwróciła się do fotoreporterów z szerokim uśmiechem, który ukazywał te jej zęby, 2 razy większe niż normalne.

Zdjęcie minister ukazało się na pierwszej stronie dziennika w Mazatlán pod nagłówkiem:

*Przemysł rybny na skraju bankructwa.*

Ale wróćmy do miecznika wiszącego w uprzęży z czarnego metalu i broczącego krwią. Był już sżytywny, kiedy 4 ładowacze, z uradowanym inżynierem Peña na czele, zdjęli go i wynieśli. Wtedy Ja poprosiłam pozostałych ładowaczy, żeby zawiesili mnie w uprzęży.

Chciałam zawisnąć tam jak miecznik, ale dopiero wisząc, zrozumiałam dlaczego.

Wisząc tam w swoim stroju do nurkowania, oddychając powoli, mogłam patrzeć na mieniące się i złociste popołudniowe morze, jakby zrobione z czystej światłości, morze płynnej światłości, i na bładoniebieskie, prawie białe, niebo. Czasami w oddali przepływała żaglówka i znikwała za widnokręgiem. Czasem klucz czarnych ptaków, jak litera V, przenikał w błękit nieba, dopóki zupełnie się nie rozpuścił.

Ja byłam całkowicie spokojna, ale nie zatracona, i bez obawy przed jakąś groźną istotą ludzką.

Stało się to moją fikcją. Nauczyłam się sama zawieszać w uprzęży i wieszalam się w niej nieustannie.

– Gdzie jest panienska Karen? – pytał kierowca, który przychodził po mnie po południu, by zabrać mnie do domu, gdzie czekał nauczyciel.

Nawoływali mnie przez megafony przetworni. Jeśli się nie pojawiałam, kierowca jechał po mnie na ostatnie moło, na którego końcu z całą pewnością wisałam w uprzęży. Kierowca siadał na betonowym słupku, żeby zapalić papierosa, i czekał.

Myślałam, że nie ma nic lepszego niż unosić się w powietrzu w stroju do nurkowania, wisząc w uprzęży. Myliłam się, było coś jeszcze lepszego.

Nurkowanie.

Siadałam w stroju do nurkowania na krawędzi kutra i opadałam swobodnie na plecy, tak by znaleźć się pod wodą najpierw głową, a potem prostopadle zanurzać się dalej.

Na głębokości 5 metrów typowa dla Mazatlán turkusowa woda staje się zielona.

Na głębokości 15 metrów traci żółty odcień i jest jasnobłękitna.



Na głębokości 30 metrów jest naprawdę niebieska, niebieska jak atrament – kolor ten nazywany jest ultramaryną – albo ciemnoniebieska.

Najelegantsze ryby spotkałam w wodzie ciemnoniebieskiej.

Ustnik, zwany rybą-aniołem, w kształcie talerza w drobną zielono-różową kratkę i z białymi ustami.

Szara kula o średnicy 2 metrów, która wirując wokół własnej osi, niebezpiecznie zbliża się do ciebie, jak gdyby chciała cię połknąć w całości, ale omija cię, muskając tylko tysiącem ogonków, bo składa się z tysiąca makreli, każdej o długości 10 centymetrów.

Szkaradnica, która wygląda jak czerwony kamień, ale nagle robi skok w zwolnionym tempie, spada i zastyga znów jak czerwony kamień na porośniętym czerwonymi wodorostami głazie.

Konik morski jest wielkości mojego środkowego palca, żyje i śpi na białym piasku na dnie morza, a porusza się, zwijając i rozwijając swój spiralny ogonek.

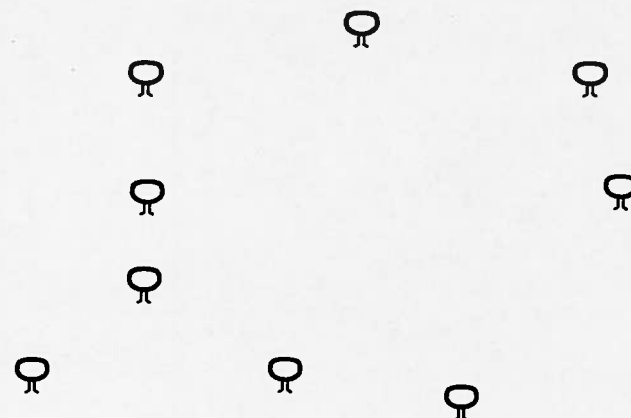


Zwierzęta morskie to ciche stworzenia, dlatego lubię przebywać pośród nich. Nie mówią, więc nie wymyślają rzeczy, których nie ma.

Są tym, czym są, i niczym więcej. Ale też niczym mniej. Myślą płetwami, ogonami, oczami i ustami, z których po otwarciu wypływają myśli jak srebrzyste bańki.

I nie są okrutne. Langusta porusza się za pomocą 8 odnóży i połyka w całości zabląkaną makrelę, ale nie kopie jej najpierw ani nie śmieje się, gdy ta umiera ze strachu, że umrze. Po prostu ją połyka i odchodzi.

No i meduzy.



Śmiesz mnie pisanie o meduzach, bo więcej jest czarnego atramentu w słowie meduza niż koloru w całej meduzie. Są zrobione z wody. Przezrystej wody, która w wodzie granatowej staje się błyszcząca. Bez serca, szkieletu, mózgu czy oczu, w grupach po 10 albo 12, spadają jak spadochrony – wielkie głowy, z których zwisają wodne tasemki.

Obserwowanie, jak opadają, oszałamia mnie, muszę potrząsnąć głową, by się ocknąć, wyjąć zza pasa pistolet i wycelować.

Albowiem słownik morski pradziadka ostrzega: meduzy bywają bardzo trujące, niektóre śmiertelnie, wystarczy jedno muśnięcie i gardło się zamyka, a płuca eksplodują.

Kiedy strzelam w ich kierunku strumieniem czarnego atramentu, uciekają do góry, otwierając i zamykając głowy, by się odepchnąć.

Czasem szukam płaskiego kamienia, kładę na nim głowę i czekam, aż moje ciało opadnie na biały piasek. Sprawdzam licznik butli tlenowej i ustawiam alarm, żeby zadzwonił, kiedy zostanie dokładnie tyle tlenu, ile potrzeba, by wypłynąć na powierzchnię.

I tak, rozłożona na piasku na dnie oceanu, poświęcam się istnieniu. Byciu.

I największemu szczęściu, jakie istnieje – patrzeniu.



Na pełnym morzu wszystko się zaczyna, kiedy wachtowy z bocianiego gniazda na maszcie dostrzega przez lornetkę zbliżające się prostopadle strumienie wody.

To delfiny, szare i błyszczące w słońcu, które zawsze pływają tuż pod powierzchnią, oddychając przez otwory w głowie. Ukryte wiele metrów niżej płyną tuńczyki. Srebrzyste i szybkie.

Od tego momentu na kutrze wszystko dzieje się błyskawicznie. Jednymi schodkami marynarze wchodzą, innymi schodzą, wszyscy ubrani w żółte sztormiaki i białe kalosze. Wchodząc i schodząc, przechodzą w korytarzu przed ołtarzem Matki Boskiej od Tuńczyków i przyklękają.

Matka Boska jest z niebieskiej ceramiki, z posrebrzonym tuńczykiem w ramionach. Tuńczykiem z żółtą lampką w oku. Marynarze żegnają się, prosząc o pomyślność, i spieszą do pracy.

Z pokładu zarzuca się do morza sieć. Sieć z żółtymi pływakami. Łodzie motorowe są już spuszczone na wodę, a w każdej z nich marynarze przywiązują sieć do kadłuba.

Łodzie odpływają, żeby rozłożyć sieć, która, rozpostarta, tworzy koło o średnicy pół kilometra. Na tym polega pułapka.

Następnie łódki podpływają z powrotem, żeby zmniejszyć średnicę i zanurzyć pułapkę, widać już tylko żółte pływaki i nadchodzi czas oczekiwania. Kuter, motorówki i żółte pływaki w ciszy unoszą się i opadają na powierzchnię morza. Jak gdyby nic nie miało nastąpić.

Ale następuje.

Delfiny wpływają do pułapki, a głębiej gromada tuńczyków, jak uporządkowana drużyna: najpierw osobniki dojrzałe, starsze niż 7 lat, potem stare, starsze niż 10 lat, na końcu młode, a między nimi narybek.

Kiedy wszystkie są już w pułapce, kapitan wydaje rozkaz rzezi, potrząsając dzwonem na pokładzie.

I na powierzchni wody na nowo rozpoczyna się operacja gromady ludzi.

Łodzie znów się przemieszczają, tym razem po to, by zamknąć pułapkę. Ryk silników i spienione ślady po motorówkach alarmują ryby, delfiny skaczą wysoko w górę, a tuńczyki wybałuszają oczy, przestraszone. Motorówki pędzą je, tak jak poganiacze pędzą bydło, by je ucisnąć, 3 marynarzy z podniesionymi harpunami na każdej łodzi.

Harpuny wbijają się w ryby. Nie wypuszczając z rąk steru, sternicy ciskają w ryby bomby dymne. A harpuny przebijają raz za razem boki krwawiących tuńczyków. Woda staje się pienista i różowa.

Wtedy następuje hałaśliwy manewr odwrotu, zaprowadzony na skutek amerykańskiego embarga.

Kuter cofa, a motorówki płyną do przodu, tworząc z sieci kanał, rodzaj zjeżdżalni nachylonej od kutra do morza. Przerażone tuńczyki i delfiny reagują natychmiast, każdy gatunek zgodnie z własną taktyką przetrwania: tuńczyki zbliżają się do siebie i na swoje nieszczęście umykają w głąb, gdzie znów wklęają się w sieć, podczas gdy delfiny wyskakują z sieci i prawie wszystkie uciekają na pełne morze, poza pojedynczymi, które padają ofiarą nieubłaganego rytmu rzezi.

Motorówki odpływają znów szybko, po raz kolejny tworząc koło, i następuje operacja zamknięcia.

Trzeba wyobrazić sobie siatkową torbę, która się zamyka. W ten sam sposób zamyka się okrągła sieć, tworząc pełną niespokojnego ładunku torbę o średnicy 50 metrów, którą motorówki zamykają coraz bardziej i bardziej.

Na pokładzie jest wielka chochla o średnicy 5 metrów, za pomocą dźwigni marynarze opuszczają ją do sieci i wypełniają srebrnymi rybami, teraz skąpanymi we krwi, podnoszą i nagle bach! chochla zapada się, a tuńczyki wpadają do otwartego luku w pokładzie.

To prawdziwa wrzawa – krzyki marynarzy wymieniających rozkazy, okrzyki triumfu, gdy wielki tuńczyk, 2 razy większy od marynarza, wyłoni się z chochli, przypominające dźwięk rozstrojonej trąby dyszenie bezzadnych tuńczyków, ich uderzenia ogonem, gdy wykrwawiają się na chochli, obryzgując krwią marynarzy, szarpnięcia kutrem, kiedy tuńczyki zjeżdżają z luku do ładowni zalanej białawą solanką, która pod wpływem krwi staje się różowa.

Wrzawa, która nie cichnie, kiedy na pokładzie przykrywa się luk, a ładownia się zaciemnia. Wtedy pod podeszwami marynarskich butów szamotanina konających tuńczyków zmienia się w gwałtowny turkot, który trwa i trwa, i trwa.

Aż słabnie i zagłusza go silnik systemu mrożenia.

Kiedy solanka zamarza, tuńczyki giną przez uduszenie. Tuńczyki i ten czy inny delfin, który nie miał szczęścia.

Wówczas kuter powoli zmienia kurs i podejmuje poszukiwania kolejnej ławicy, oddalonej być może o wiele dni drogi, podczas gdy w zasolonym brzuchu kutra tuńczyki zmieniają kolor.

Już nie są srebrne, powoli stają się różowe. Wiele dni później – zielone. Kiedy ładowacze na molo zarzucają je sobie na ramiona, pod warstwą solnej patyny są już czarne.

Fiksacja: trwałe łączenie rzeczy ze sobą.

Tak jak do mojej głowy przylgnęła na całe życie jedna fryzura – na zero. Albo metalowa uprząż, w której zwykłam wisieć, stała się dla mnie odpowiednikiem spokoju. A nurkowanie – radości. I w ten oto sposób, nie rozumiejąc na początku dlaczego, utrwaliłam kolejną fiksję.

Na punkcie krwi rozlanej na morzu.

Po rzezi morze było czerwone i błyszczące, od horyzontu aż po horyzont, 360 stopni morza krwi. Unosiło się i opadało powoli, pełne krwi, jak gdyby wreszcie oddychało spokojnie, pod idealnie błękitnym niebem pełnym światła.

3 motorówki wciągano na pokład, a Ja zostawałam na dole w czwartej, o białym kadłubie, na morzu krwi. Kuter obracał się powoli, by wyrównać kurs. Ja miałam dogonić go później.

Nie wiem, jak to się działo, że zawsze ten sam marynarz zostawał ze mną w łódce. Smagły typ z włosami w kolorze kawy.

Czekaliśmy w ciszy, aż powoli, powoli morze znów stanie się niebieskie. Aż krew z rzezi rozpuści się w wodzie.

Rzeź: to marynarz powiedział mi, że tak nazywa się połów tuńczyka na Sycylii, gdzie się urodził. Metoda, który liczy sobie wiele wieków, jak mówił. Wiadomo, że przynajmniej 4 tysiące lat, bo w jednej z sycylijskich jaskiń, na ścianie w kolorze ochry, którą w południe oświetla słońce, jest rysunek sprzed 4 tysięcy lat przedstawiający ludzi z uniesionymi harpunami obok owalnego kształtu, czyli jeziora, wewnątrz którego jest kilka rombów, czyli tuńczyków, a w jeden z rombów wbity jest harpun.

To także marynarz powiedział mi, że Włosi nazywają ryby i inne morskie stworzenia owocami morza. *Frutti di mare*. Zupełnie jakby morze było drzewem z wodnymi liśćmi, a ryby i morskie zwierzęta jego owocami. Metafora, której nieścisłość nie dawała mi spokoju.

– A gdzie jest pień?

– Jaki pień?

– Pień morskiego drzewa.

Marynarz nie odpowiedział.

Innego dnia na morzu czerwonym od krwi odkorkował zawiniętą w słomę butelkę.

– Chianti – powiedział.

Powąchał korek butelki, napełnił 2 kubki z przezroczystego plastiku i nauczył mnie pić małymi łykami czerwone wino.

– Czerwone wino to sfermentowany sok z winogron – wyjaśnił, jakby recytował z pamięci. – Ale czerwone wino to także krew ziemi. Trzeba pić je małymi łykami, żeby dać mu czas na wejście do serca.



W młodości wyjeżdżał w maju ze swojej wioski ciężarówką, aby dotrzeć na czas na rzeź tuńczyka błękitnopłetwego w Palermo. Rzeź, która nie zmieniała się od wieków. 4 podłużne drewniane kutry pełne rybaków rozciągały na pełnym morzu sieć i zanurzały ją. Sieć o wielu komorach wpadających tylko do jednej. Do komory śmierci.

Tuńczyki błękitne wpływały bezwiednie do pułapki, drewniane kutry zbliżały się do siebie i zostawała tylko komora śmierci, pełna zrozpaczonych tuńczyków, którą marynarze w drewnianych kutrach siłą własnych ramion wyciągali z wody w takt starej pieśni.

Ochrypłym głosem marynarz zaśpiewał po włosku pieśń o niejakim Jezusie i jakiejś Dziewicy, o morskich aniołach i tym podobnych, jak zapisałam w swoim dzienniku.

Oczy błyszczały mu, gdy to śpiewał, a Ja zdałam sobie sprawę, że zdaję sobie sprawę, że błyszczą. Ja, która nigdy nikomu poza ciotką nie patrzyłam w oczy.

Oczy w kolorze kawy z mlekiem, zapisałam w dzienniku.

– Ale to już przeszłość – powiedział nagle marynarz i dołączył do siebie wino. – Co roku tuńczyka ubywa – rzekł – i już nie wystarcza, żebyśmy my, marynarze z innych wiosek, łowili go razem z marynarzami z Palermo. Co roku tuńczyków jest mniej i co roku są mniejsze.

– Poza tym – powiedział – ja chciałem zwiedzać świat.

Pływał na luksusowych rejsach, ale nienawidził turystów.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Bo ich nienawidzę – powiedział. – Jebani turyści.

Rozśmieszyły mnie te słowa i powtórzyłam:

– Jebani turyści.

Tak czy inaczej, wołał pracować jako pomocnik. Najmował się do operacji specjalnych, jak połów wieloryba dla ogrodu zoologicznego albo wąsatych fok na lodowcu dla jakiegoś milionera, polowanie na rekina zabójcę na Bahamach czy załadunek broni, która przekraczała Kanał Panamski ukryta w brzuchu kutra do połowu krewetek.

Dobrze na tym zarobił i mógł spędzić resztę roku w swojej wiosce, zbijając bąki.

– Jakie bąki? – zapytałam.

– Owady – wyjaśnił. – Takie – dodał, wskazując w powietrze.

Zapytałam:

– Spędziłeś cały rok, zbijając bąki?

– Cały rok.

Pewnego dnia siedział w barze z owocami morza na plaży w Barcelonie, jedną ręką trzymając widelec i jedząc tortillę z sardynkami, a drugą zbijając bąki, kiedy inny marynarz powiedział do niego:

– Szukają pomocników w Zatoce Kalifornijskiej. Połów tuńczyka żółtopłetwego. Szkopuł w tym, Ricardo, że trzeba zostać na cały rok.

Tym sposobem trafił do przetwórni tuńczyka Pocięcha i został kaptanem kutra.

Podciągnął spodnie, a zamiast standardowej kostki miał tylko  $\frac{3}{4}$  – brakowało czwartej części ciała z tyłu kostki.

– Ugryzienie rekina zabójcy – powiedział z zadowoleniem. – A spójrz tutaj.

Rozpiął koszulę i na śniadej skórze pod jasnymi włosami, tuż nad sercem, zobaczyłam czerwony krzyż wielkości dłoni, ale on wskazał na swój brzuch, gdzie 10 centymetrów od pępka był inny otwór, zupełnie jak drugi pępek.

– Postrzał amerykańskiej policji w Panamie. Kula otarła się o wątrobę. A popatrz na to – powiedział.

Rozpiął spodnie, odsunął gumkę od bokserów i pokazał. Kolejna blizna, prosta, o długości jakichś 15 centymetrów, biegła od kości biodrowej i znikwała w jasnych włosach na jego łonie.

– Zapalenie wyrostka robaczkowego – powiedział i wybuchnął śmiechem. – Nagła operacja na statku na pełnym morzu. Bez znieczulenia. Jebanym nożem kuchennym.

– A ten krzyż na piersi? – zapytałam.

– Nieważne – rzekł Ricardo, nagle skryty.

– Spójrz – powiedziałam Ja.

Rozpięłam i zdjęłam dżinsową koszulę. Oczy Ricardo powędrowały na moje piersi, na moje sutki, i zmieniły kolor z jasnokawowego na ciemnokawowy. Odwróciłam się na ławce, żeby pokazać mu plecy,

bliznę, która przecinała je po przekątnej od barku do pasa, bliznę jak źle wszyty zamek błyskawiczny, krzywą i siną na brzegach.

Nie słyszałam Ricardo przez dłuższą chwilę.

Morze na horyzoncie było już ciemnoniebieskie, niemal turkusowe, czerwona pozostawała tylko okrągła plama tuż obok nas, o jakichś 100 metrach średnicy.

Odwrociłam się znowu na ławce, a Ricardo siedział z otwartymi ustami.

Powiedział:

– Jak to się stało?

– Nie mam pojęcia – powiedziałam i włożyłam z powrotem koszulę. – Ciotka mówi, że miałam ją, jeszcze zanim zaczęłam mówić.

Ricardo sięgnął do kieszonki na piersi i wyjął cienki portfel. Mogłabym przysiąc, że pokaże mi jakieś zdjęcie, ale nie, wyjął z bardzo zielone listki i podał mi jeden.

– Przełam go, o tak – powiedział i przełamaliśmy na pół swoje liście. – Potrzyj – rzekł, pocierając połowę listka między kciukiem i palcem wskazującym, a Ja potarłam. – A teraz powąchaj – powiedział, podnosząc swój listek do nosa.

Powąchałam.

– To liść drzewa cytrynowego – powiedział Ricardo.

Zaczęłam zapinać koszulę, ale poprosił, żebym tego nie robiła.

– To zostanie między nami – rzekł bardzo cicho.

Nie rozumiałam, o czym mówi, ale jako że ciągle zdarzało mi się nie rozumieć, o czym mówią ludzie standardowi, nie przejęłam się. Wyciągnęłam się na ławce, z głową opartą o brzeg motorówki, i zamknęłam oczy.

Lubiłam, i lubię, czuć światło padające mi na twarz, podczas gdy głowa unosi się i opada razem z morzem.

Usłyszałam powolny szmer, otworzyłam jedno oko i zobaczyłam kapitana Ricardo, ogorzonego, z włosami w kolorze ciemnej kawy o złocistych końcówkach, przyglądającego mi się i oddychającego głęboko i powoli.

Któregoś dnia, gdy leżeliśmy rozpostarci twarzą do słońca, każde z nas na swojej ławce w motorówce, wachając liście cytryny, Ricardo opowiedział mi o tajemniczym aniele marynarzy.

– Co to jest anioł? – zapytałam.

– Nigdy nie byłeś w kościele?

– Nie – powiedziałam.

– Niemożliwe – powiedział.

– Nigdy nie weszłam do żadnego kościoła – powtórzyłam.

– Przecież kilka tygodni temu wspominałem ci o aniele morskim i o nic nie pytałaś.

Nie odpowiedziałam, co często jest najlepszą odpowiedzią, żeby rozmówca mówił dalej.

Powiedział mi zatem, czym jest anioł:

– To skrzydlata istota, którą Bóg zsyła na ziemię.

Na końcu tego wyjaśnienia miałam już kolejne pytanie.

– Kto to jest Bóg?

– No dobra – powiedział Ricardo z głową metr od mojej głowy. – To mam ci opowiedzieć o aniele marynarzy czy nie?

Nie odpowiedziałam i opowiedział.

– Kiedy marynarz się topi, anioł schodzi na dno morza, by go błogosławić. Dotyka jego czoła i bierze go za rękę, podnosi go z dna, jak gdyby nic nie ważył, i razem płyną ku górze, wynurzają się z morza i płyną w powietrzu, aż dotrą pod dach nieba.

Powiedziałam:

– Nieprawda.

Ricardo zmarszczył czoło.

– Gdyby to była prawda – powiedziałam – anioł miałby na plecach płetwy, a nie skrzydła.

– W porządku – powiedział Ricardo, roześlony. – Jak sobie, do cholery, zyczysz.

I zaczął wpatrywać się w morze ze swojego końca łodzi, podczas gdy Ja wpatrywałam się w morze z jej drugiego końca.



Czasem, kiedy połów był obfity i panowała dobra atmosfera, Ricardo wybierał jednego tuńczyka i kazał wrzucić go do naszej motorówki. Kuter odpływał i zostawialiśmy sami we trójkę. Ja, Ricardo i tuńczyk. Ricardo i Ja na ławkach w łódce, a tuńczyk na podłodze. Znienacka tuńczyk otwierał usta i smagał ogonem, jak gdyby potężny strzał z bata rozlegał się na środku morza krwi.

Ricardo rozpinął koszulę, na jego smagłej piersi widać było złotawe włosy, a on swoimi jasnokawowymi oczami patrzył w słońce.

Kiedy nasz tuńczyk przestawał się ruszać, Ricardo wbijał w niego swój szwajcarski szczyroryk i sapiąc z wysiłku, odrywał kawałek skóry, a potem odkrawał płat czerwonego mięsa. Kładł go sobie na kolanach i kroił na krótkie, cienkie filety, podobne do czerwonych języków. Wyjmował ze szczyroryka 2 plastikowe pałeczki i każde swoją pałeczką jadło języki tuńczyka.

– Za tak świeżego tuńczyka płacą 60 tysięcy dolarów – powiedział Ricardo.

Powiedziałam:

– Nieprawda.

Zmarszczył czoło. Powiedział:

– A co ty wiesz, skoro nigdy nie wyjechałaś z jebanego Mazatlán? Restauracja w Japonii płaci tyle za tuńczyka, którego można zjeść bez mrożenia, trzymania w solance i wtłaczania pary. I jedzą go dokładnie w ten sposób, w kawałkach wielkości jednego kęsa, bez przypraw. Podają do tego miskę ryżu z kilkoma kroplami octu, żeby oczyścić podniebienie między jednym a drugim kęsem. 60 dolarów za talerz z 3 cienkimi kawałkami idealnie świeżego tuńczyka.

A więc oto mieliśmy w łodzi u naszych stóp skarb wart 60 tysięcy dolarów. No, przynajmniej według Ricardo.

Każdy kęs rozplýwał się w ustach jak marcepan.

Pomarańczowe słońce schodziło coraz niżej i Ricardo podrapał się po brodzie, a Ja zdumiałam się, bo nagle zauważyłam, że nie wiedzieć kiedy urosła mu broda w kolorze kawy, przetrkana złotymi nitkami.

– Smutno mi – poinformował mnie. – Na szczęście – powiedział po chwili – jestem z tobą. Nikt nie potrafi słuchać tak jak ty.

– A jak Ja cię słucham? – zainteresowałam się.

– Po prostu słuchasz. O to mi chodzi. Słuchasz, nie osądzając mnie. Milczący ze mnie typ – dodał, choć rzeczywistość była zupełnie inna. Mówił i mówił, z długimi przerwami, jednak to przede wszystkim on mówił, kiedy byliśmy razem na łodzi.

– Dlatego – ciągnął Ricardo – doceniam, kiedy ktoś mnie słucha tak jak ty. Zwłaszcza że nigdy nie rozmawiałem tyle z kobietą. Wiesz dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– No, bo kobiety są od czego innego, no wiesz, nie od rozmowy.

– Mówię ci, że nie mam pojęcia.

– Jasne. No, są od tego. Od tego, żeby je posuwać. Żeby się z nimi łączyć w pary. No, wiesz.

Nie, nie wiedziałam, ale co mnie to obchodziło.

– Przynajmniej tak myślałem – poprawił się Ricardo, z wilgotnymi oczami, przejęty samym sobą. – Tak myślałem, dopóki nie porozmawiałem z tobą.

Wbiłam pałeczkę w kawałek tuńczyka i włożyłam do ust.

– Chciałbym, żebyś wiedziała – powiedział powoli, przyglądając mi się – że dla mnie jesteś wyjątkowa.

– Jestem inna – uściśliłam.

– Bogu dzięki – rzekł Ricardo.

Zapalił po marynarsku papierosa. Rozpiął koszulę, którą wydał lekki tego popołudnia wiatr, zapalił zapalniczkę, pochylił głowę z papierosem w ustach i przyłożył ogień do końcówki papierosa.

Wypuszczając dym, zapytał:

– Mogę cię dotknąć?

Wyciągnął swoją dużą dłoń w stronę mojego uda, a Ja, przestraszona, podniosłam nogę do góry tak, że mój kalosz znalazł się pomiędzy jego twarzą a mną.

– Już dobrze – powiedział on zza mojej podeszwy.

Zabrał rękę i wyjął z kieszonki na piersi portfel, a z niego 2 zielone listki, i zaproponował mi jeden, a Ja opuściłam kalosz.

Każde z nas potarło swój listek między 2 palcami, przełamało go i wciągnęło jego zapach świeżo zerwanej cytryny. Wszystko to bez słowa, na spokojnym morzu.

Wtedy Ricardo powiedział:

– Coś takiego. Dopiero teraz zrozumiałem, czemu jestem smutny, kiedy jesteśmy razem. Przecież mógłbym być twoim ojcem.

Zdenerwowała mnie ta wiadomość. Zaczęłam wbijać sobie w dłoń paznokcie prawej ręki, jeden po drugim.

Ricardo powiedział szybko:

– Nie, nie. Spokojnie. Zaczekaj. Chciałem tylko powiedzieć, że twój ojciec mógłby być w moim wieku. Ile masz lat? 17? Ja mam 34.

Wymamrotał:

– Skurwysyn ze mnie.

Jego deklaracje zupełnie zbiły mnie z tropu. Najpierw, że mógłby być moim ojcem, a potem, że jego matka była kurwą. Serce biło mi mocno i wzięłam głęboki oddech. Ricardo poszedł w moje ślady, odczekał powoli i głęboko.

– Tak – powiedział, jak gdybyśmy się zgadzali w kwestii nie wiedzieć czego. – Jaki tu spokój – dodał. – Spójrz, nie ma już krwi.

Miał rację. Może było już niebieskie. Znowu turkusowoniebieskie. Całe turkusowe, jak gdyby rzeź nigdy nie miała miejsca.

Zaśmiałam się. Cieszyłam się, że po rzezi nie zostało nic, ani kropla krwi.

– Możemy teraz iść? – zapytał Ricardo. – Przekonałeś się już, że morze całkowicie zapomniało o rzezi.

Powiedziałam:

– To o to chodzi? Chcę zobaczyć, że morze zapomniało o rzezi?

On powiedział:

– Chcesz zobaczyć, czy zasklepiła się rana morza.

Zamysliłam się nad tymi słowami.

Potem powiedziałam:

– Tak, możemy iść.

Ale ani on, ani Ja nie ruszyliśmy się.

Oboje w małej łódce na wielkim turkusowym morzu.

Po kolacji w jadalni kutra marynarze wykorzystywali swój czas wolny. Grali w karty w jadalni. Albo czytali gazety, niektórzy książki, a któryś szedł do pomieszczenia radiowego, żeby się z kimś skontaktować. Ja zakładałam słuchawki mojego walkmana i uczyłam się angielskich słówek, chodząc po pokładzie w żółtym sztormiaku. Albo zostawiałam w mojej kajucie, rozłożona na łóżku. Słuchałam słówek przez słuchawki i powtarzałam je na głos, a kiedy na kasecie je literowali, zapisywałam je na kolorowych karteczkach i wieszałam na ścianach kajuty.

Zasypiałam, literując nowe słowa w nowym języku.

Ale najbardziej lubiłam te wieczory, które po kolacji spędzaliśmy na rozmowach.

Serwowano kawę w glinianych kubkach, marynarze zapalali papierosy, a kilka butelek rumu podawano z ręki do ręki i rozlewano do przezroczystych plastikowych kubków, jednak Ricardo ciągle trzymał w ręce swoją butelkę campari i przechylał ją do kubka z lodem.

Uwielbiałam być tam z nimi, gdy opowiadali swoje marynarskie historie.

Pewnego wieczoru Ricardo opowiedział o tym, jak storpedował niewłaściwy statek. Wziął na celownik statek, który z daleka był wielkości muchy... wcisnął przycisk wyrzutni... torpeda wystrzeliła, znacząc na morzu prosty ślad z piany... i wtedy kapitan wykrzyknął:



– Kurwa, to nie ten statek! To statek szpitalny Czerwonego Krzyża!

Wpatrywali się w horyzont, w miejscu stateczku pojawiła się czerwona iskra. Statek wybuchnął. Ale to był niewłaściwy statek, a Ricardo i po chwili kapitan wymamrotali:

– O, kurwa.

– O, kurwa.

– Tak właśnie było – zakończył Ricardo. – Tak spierdoliłem sprawę na Morzu Czarnym, bo ja zawsze spierdoleł wszystko to, co dobre.

Przez dłuższą chwilę patrzył prosto na mnie, wszyscy marynarze patrzyli, jak na mnie patrzy, a jeden z marynarzy zapytał:

– I co wtedy, kapitanie?...

– I nic – powiedział Ricardo, nie przestając na mnie patrzeć. – I gówno. Wytatuowałem sobie nad sercem czerwony krzyż, by pamiętać o tym, żeby już więcej nie spierdolić niczego dobrego. To wszystko.

Nikt więcej się nie odezwał, Ricardo dołał sobie campari do plastikowego kubka z lodem, a potem inny marynarz opowiedział inną historię.

Którejś nocy spacerowałam po pokładzie, wypowiadając słowa po angielsku, kiedy postanowiłam zdobyć się na odwagę, żeby odwiedzić pozostałych użytkowników kutra. Tuńczyki.

Zeszłam do brzucha statku, trzymając się jedną ręką poręczy schodków, z latarką w drugiej. Naciśnęłam włącznik, zapaliło się 10 reflektorów, podświetlając lód.

Wewnątrz oświetlonego lodu tuńczyki wyglądały jak czarne kleksy. Przyklejone jedne do drugich, uciśnięte jedne na drugich. Gdy chodziłam między nimi, moje kroki dźwięczały na lodzie, człap człap człap, wywołując echo w metalowych ścianach brzucha kutra, pach pach pach.

Nagle, nie wiem jak, lód pękł, a mój kalosz znalazł się tuż obok tuńczyka, tuńczyka, którego czarne oko poruszyło się i wszystkie oczy wszystkich tuńczyków poruszyły się, w momencie gdy rozwarły się ich różowe paszcze.

Kostkami palców zapukałam do kajuty Ricardo.

Był w białych bokserkach, z zarośniętym torsem i włosami w nieładzie. Pozwolił mi wejść i weszłam do środka, utykając, bo zdjęłam kalosz i przemoczoną skarpetkę, usiedliśmy na z krzesłach twarzą do łóżka, a ja wciąż się trzęsłam.

Ricardo powiedział ochrypłym głosem:

– Zabrakło ci tlenu, to wszystko. We wnętrzu kutra nie ma tlenu. A bez tlenu ma się zwidy.

– Zwidy?

– Halucynacje. Widzi się rzeczy, których nie ma.

– Boję, boję – próbowałam powiedzieć mimo echolalii wzniesionej przez strach. – Boję się, bo zabijamy, zabijamy tuńczyki.

Ricardo pod świetlikiem w ciemnej kajucie był w kolorze niebieskim. Rzeka bardzo cicho:

– Boisz się, że tuńczyki się zemszczą?

Przeszedł mnie dreszcz. On powiedział:

– Spokojnie. Nie mogą się zemścić. Zaręczam ci.

– Nie. Myślę, myślę, że to strach przed, przed czymś innym.

– Przed czymś innym – powiedział. – Tak, wiem, przed czymś większym. Tak jest, kiedy zabijasz. Otwiera ci się tu jakby dziura.

Dotknął czerwonego krzyża wytatuowanego pod włosami nad sercem.

– Dziura, przez którą wchodzi przerażenie. Przerażenie nie wiadomo przed czym. I to jest najgorsze, ogromny strach nie wiadomo przed czym. Posłuchaj mnie teraz uważnie – powiedział Ricardo. – Żeby żyć, my, ludzie, musimy jeść, a żeby jeść, musimy zabijać. Bóg dał nam zezwolenie na zabijanie innych gatunków po to, żeby jeść. To wszystko. Pamiętaj o tym, kiedy poczujesz ten wielki strach, bo to jedyny sposób na niego.

– Mogę, mogę zobaczyć to, to zezwolenie? – zapytałam.

Ricardo odwrócił się i przyjrzał mi się z uwagą.

– Oczywiście – powiedział. – Skseruję ci je. Jest na pierwszej stronie Biblii i jest w nim napisane mniej więcej tak. Na początku Bóg stworzył światło, morza i ziemię, potem drzewa, rośliny

i zwierzęta, a na końcu stworzył Adama i Ewę, pierwszych ludzi, i powiedział im: oto daję wam całą planetę, żebyście nad nią panowali i ją jedli.

Ja powiedziałam:

– Ostatnio zapytałam ciotkę, co to jest Bóg. Powiedziała mi, że Bóg jest tym wszystkim, czego nie znamy. Na wszystkim, czego nie znamy, umieszczamy etykietkę: Bóg.

– Nie będę zaprzeczał swojej szefowej – rzekł Ricardo. – Ale nie ma błędnego pojęcia, o czym mówi. Mogę zapalić?

Nie odpowiedziałam.

On zapalił papierosa. W ciszy wypalił połowę.

Powiedział:

– Ksiądz z kościoła, do którego chodziłem jako dziecko, ujmował to w następujące słowa: Bóg jest światłością.

– I?

– I nic, Bóg jest światłem.

Odwrociłam się, by spojrzeć na świetlik, pośrodku którego świecił półksiężyc.

– Nie takim światłem – powiedział Ricardo. – Innym światłem. Szczególnym światłem.

Już miałam go o coś zapytać, ale podniósł rękę.

– Nie, nie powinniśmy rozmawiać o tym szczególnym świetle. Któregoś dnia widzisz je i nagle rozumiesz wszystko, wszystko, i już. A swoją drogą, zostań ze mną na noc.

Zgaślił na stole niedopałek z filtrem.

Później powiedział:

– Jeśli chcesz.

A chwilę później:

– Mówią, że wyjeżdżasz daleko na studia.

Powiedziałam:

– Tak. Do innego kraju.

– Dlaczego?

– Bo ciotka tak chce.

– A ty czego chcesz?

Spojrzał mi tak głęboko w oczy, że musiałam przenieść wzrok na ścianę.

– Nie wiem – powiedziałam i rzeczywiście nie wiedziałam, czy chciałam daleko wyjeżdżać.

Ricardo położył się na łóżku, a Ja zastanowiłam się, podeszłam i położyłam się, spięta, obok niego.

W pewnym momencie, na wpół przebudzona, na wpół śpiąca, poczułam pod koszulą, jak Ricardo całuje moje plecy. Bliznę na moich plecach. Złożył wzdłuż blizny 1, 3, 5 pocałunków. A potem nic. Ani mnie więcej nie pocałował, ani się nie poruszył, ani nic. I wtedy usłyszałam, jak moje Ja mówi w mojej głowie:

– Mordercy.



Przyklejałam kolorowe etykiety z plastiku ze słowami po angielsku zapisanymi moim koślawym pismem od mojego pokoju aż do sal, w których odbywały się zajęcia.

Drzwi, korytarz, schody, drzewa (ponumerowane od 1 do 67), budynek wydziału zootechniki, korytarz, sale (ponumerowane od 1 do 35).

Pokonywałam moją trasę, piszcząc ze strachu, że się zgubię. Czasem rozpraszałam się, by spojrzeć na jakieś światło, które z jakichś powodów wydało mi się wyjątkowe. Miałam w pamięci słowa Ricardo.

Bóg jest szczególnym światłem...

I rzeczywiście zdarzyło się 2 razy, że z powodu 2 bardzo szczególnych światel zatraciłam nawet sama siebie. Jedno, które zobaczyłam przez kwadratową szybę w drzwiach i które przecinało ciemność po drugiej stronie: snop światła padający na podłogę na kształt kwadratu. I drugie: długa cylindryczna wiązka światła, w której unosił się kurz.

Za pierwszym razem ciotka znalazła mnie w ciemnym schowku, z czołem przyciśniętym do kwadratowej szyby pełnej światła, między miotłami, wiadrami i opakowaniami detergentów. Za drugim razem znalazła mnie w samym świetle, które wpadało przez okrągły lufcik do ogromnego audytorium, kiwającą się na siedzeniu, z twarzą zwróconą ku górze w stronę kurzu zawieszonego w świetle, zaślonioną i otępiałą.

Przybyliśmy na miejsce 1 miesiąc przed rozpoczęciem zajęć. Prócz przyswajania, krok po kroku, trasy z mojego pokoju do sal zajęciowych i z powrotem miałam komputerowe lekcje z min, z ciotką Isabelle u boku.

Ja miałam tylko 4 miny. Przestraszona, radosna, neutralna i otępiała. Skoro na uniwersytecie miałam wejść w kontakt z innymi osobami, musiałam zwiększyć liczbę min.

– Spójrz na komputer – powiedziała ciotka. – Włączasz go i słyszeć muzykę, jakby komputer mówił: tu jestem, jestem gotów. Otwierasz plik i słyszeć piiiip. Kiedy chcesz coś od niego i zwleka, pojawia się klepsydra, która mówi: daj mi czas, myślę. Prawda jest taka, że komputer nie potrzebuje wydawać dźwięków ani dawać znaków, ale nikt nie używałby komputera, gdyby nie dawał znaków, że pomiędzy nim a użytkownikiem zachodzi komunikacja. Chcę powiedzieć, że musisz dawać innym więcej znaków, Karen, pokazywać więcej min.

Ciotka wgrała do komputera minutowe filmiki przedstawiające ludzi standardowych z różnymi wyrazami twarzy. Naśladując je, miałam nauczyć się wyrażać: złość, gniew, wrogość, smutek, wstręt, szczęście, zdziwienie, wstyd, zazdrość, zawiść, pogardę, rozpacz, znużenie, nieufność. Ale przede wszystkim: przyjemność, sympatię, ciekawość, zaskoczenie, pragnienie, uwielbienie, dumę.

A wszystko to miałam osiągnąć, łącząc pracę mięśni powiek, brwi i ust.

Była to wycieńczająca praca, przy której koszulka przesiąkała mi potem.

W końcu uzgodniłyśmy, że to Ja sama będę mogła włączyć „tryb kontaktu” (i być gotowa do użycia którejs z 21 min ludzkich) albo wyłączyć ten tryb i być sobą, to jest przejść w „tryb braku kontaktu” (z moimi zwyczajowymi 4 minami), bo jeśli cała moja świadomość miała skupić się na kontaktowaniu z innymi, to kiedy niby miałabym się uczyć innych rzeczy na uniwersytecie.

Na starych komputerach z tamtych czasów na ekranie pojawiała się co chwilę karykatura Alberta Einsteina, który spacerował wesoło albo kiwał głową, a potem robił zdjęcie lub otwierał książkę i ją

przeglądał. Za każdym razem, gdy pojawiał się milutki Einstein, Ja wybuchalam śmiechem, zrywałam się na równe nogi i naśladowałam go, spacerując drobnymi kroczkami i kiwając głową, a ciotka wściekała się na mnie.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – podnosiła głos. – Nie możesz śmiać się tak głośno. Zamknij buzię, ściągnij wargi, śmieję się, ale z zamkniętymi ustami, twoje emocje muszą być wyważone.

Upodobnienie się do ludzi standardowych miało kosztować mnie wiele wysiłku, wiele lat i wiele dyscypliny. A teraz w rzeczywistości, mimo swoich 41 lat, wciąż do tego dążę.

Od wyważania emocji i wyrażania tylu niejasnych dla mnie rzeczy, i to tylko przy użyciu mięśni powiek, ust i brwi, pociłam się i wpadałam w złość. A nocami śniłam o wolnych czerwonych rybach i szarych kulach, które w jednej chwili rozpieczęstają się na tysiąc szybkich makreli, i o 3 błyszczących delfinach wzbijających się w powietrze.

Ciotka opowiedziała mi o Albercie Einsteinie, matematyku. Podobnie jak Ja Einstein miał swoje fiksacje. Spędził całe lata, siedząc w urzędzie patentowym w szwajcarskim Bernie, rozmyślając o jednej tylko rzeczy – o Wszechświecie. Odkrył też prostą i bardzo elegancką teorię o Wszechświecie, której nie zrozumiałam i co do której ciotka, po trzykrotnej próbie jej wyjaśnienia, wyznała, że także jej nie rozumie.

Podobnie jak Ja Einstein był niezdolny do powtórzenia czegoś, co wydawało mu się nieprawdą, również robił wszystko powoli i z najwyższą uwagą, a problemy rozwiązywał równie nowatorsko i indywidualnie. I dostał Nagrodę Nobla, najbardziej pożądaną nagrodę na planecie Ziemia.

– Prawdopodobnie był autystyczny – powiedziała ciotka, wbijając widelec w okrągły mały ziemniak.

Jadliśmy kolację w restauracji.

– Autystyczny był także prawdopodobnie Karol Darwin, który jako młodzieniec spędził 5 lat w Ameryce Południowej, podróżując od jednej wyspy do drugiej, i rysował każdy gatunek rośliny czy

zwierzęcia, jaki napotkał, wypełniając rysunkami swoją kajutę na okręcie, którym podróżował, aż pewnego dnia kapitan powiedział mu: „Dosyć, chłopcze, statek zatonię od tego papieru”, i wówczas poświęcił 3 dekady na dokładne przemyślenie tego, co narysował, aż pewnego dnia przyjaciel powiedział mu: „Dosyć, Karolu, jesteś już siwy i na wpół ślepy, a wygląda na to, że inny przyrodnik lada chwila opublikuje to, co miałeś napisać ty”, i wtedy Karol spisał naprędce teorię wyjaśniającą, dlaczego różne gatunki istot żywych są do siebie podobne, a jednocześnie różne od siebie.

Albo Beethoven, muzyk, który był czasem tak jak ty wybuchowy i nieposłuszny, był postrachem swoich sąsiadów, do których krzyczał przez drzwi swojego mieszkania, żeby dać mu ciszę do komponowania, ciszę do słuchania szumu gwiazd. „Na litość boską, dajcie mi ciszę”, krzyczał Beethoven, aż pewnego dnia ogłuchł.

– Chcę powiedzieć – rzekła ciotka – że prawdopodobnie każdy z tych geniuszy miał jakiś stopień autyzmu, tak jak ty. Choć w ich czasach jeszcze nie używano słowa „autystyczny”.

Włożyła do ust kolejny okrągły ziemniak, przeżuła go, wypiła łyk czerwonego wina i powiedziała:

– To właśnie osoby z innymi zdolnościami wnoszą wkład w rozwój ludzkości.

Zapytałam:

– A jeśli ty oszalałaś, ciociu?

– Co to, to nie – rzekła ona z niewytłumaczalną radością i wytarła usta w serwetkę.

A Ja poczułam dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa.

Zauważyłam, że kiedy wstałyśmy od stołu i przechodziłyśmy przez restaurację do wyjścia, ludzie odwracali się, by spojrzeć na nią. Na moją elegancką ciotkę Isabelle w szarej garsonce, szczupłą, z blond włosami sięgającymi, jak złoty hełm, połowy szyi. Za nią jej wysoka siostrzenica z ogoloną głową, w dżinsach i butach ładowacza, która szła marynarskim krokiem, unikając kontaktu z cudzymi oczami i patrząc za to w ściany. Stawiając całe podeszwy na podłodze przy każdym kroku, żeby nie stracić równowagi.



Rano ciotka wyjechała, a Ja, leżąc sama na łóżku w pokoju, zapartryłam się w sufit. Tylko strach przypominał mi, że wciąż tam byłam, żywa.

Wyjęłam swoje narzędzia, wiertarkę i śruby, stanęłam na łóżku i przymocowałam do sufitu swoją uprząż, włożyłam strój do nurkowania i ubrana w strój do nurkowania zawiesiłam się w uprzęży nad łóżkiem.

Przez okno widziałam wielki ogród uniwersytetu. Na jego ścieżkach zaczęli pojawiać się studenci.

Każdy z nich przyprawiał mnie o skok tętna, napędzał mi strachu.

Nagle drzwi się otwały i stanęła w nich studentka, z jedną walizką w każdej ręce. Zobaczyła mnie zwisającą z uprzęży w stroju do nurkowania z niebieskiego neoprenu. Przypuszczam, że była to moja współlokatorka.

Nie wiem, bo wyszła i więcej nie wróciła.

Wiele godzin później weszła inna studentka, piegowata blondynka, również z 2 walizkami, po jednej w każdej ręce. Położyła je na łóżku. Z wanny, w której unosiłam się na gorącej wodzie w stroju nurka, zobaczyłam, jak otwiera walizki i zaczyna wyjmować ubrania. Chodziła od walizki do szafy, gdzie wieszała swoje ciuchy.

Wyszłam z wanny i wielkimi krokami, bo miałam na sobie pletwy, weszłam do pokoju, a ona zaczęła wycofywać się z otwartymi ustami aż wpadła na ścianę.

Zaczęła mnie przeproszać nie wiedząc za co, łapiąc się za głowę.

Poprosiła, żebym zdjęła maskę, zdjęłam ją i zaczęłam patrzeć w inną stronę.

Powiedziała, że na pewno gram w koszykówkę, bo jestem bardzo wysoka i silna, albo należę do sekcji pływakiej, albo jednak nie, raczej do sekcji nurkowania, oczywiście jeśli jest taka na uniwersytecie, i nie przerywając, zapytała, co studiuję.

Odpowiedziałam:

– Zootechnikę.

Powiedziała radośnie:

– Cudownie, a ja mam w domu labradora!

I znów nie przerywając, spytała, czy teraz Ja nie chciałabym poznać jej imienia i kierunku studiów.

– Niekoniecznie – powiedziałam.

Szybko spakowała swoje rzeczy, wyszła i również więcej nie wróciła. W ten oto sposób miałam pokój z 2 łózkami tylko dla siebie.

Przed wyjściem na zajęcia przyklejałam sobie do piersi żółtą karteczkę z 2 słowami:

*Inne zdolności.*

Była to jedna z moich taktyk przetrwania.

Inna taktyka. Na zajęciach, żeby nie patrzeć prosto na wykładowców, kładłam na pulpicie kamerę wideo i obserwowałam salę przez jej mały ekranik.

Kolejna taktyka. Jeśli ktoś mówił coś do mnie na korytarzu, spoglądałam w najbliższe okno albo nastawiałam zegarek, żeby nie musieć patrzeć w oczy nieznanego rozmówcy.

Niestety okazało się, że głównym zajęciem studentów były rozmowy, rozmowy i jeszcze raz rozmowy, wystawali na korytarzach, w ogrodzie i na schodach, tworząc między sobą pola dźwiękowe za pomocą ust i patrząc sobie nawzajem w źrenice. Zamknięci w swoim świecie ludzi standardowych. Często ktoś upierał się, żeby napęłnić moją przestrzeń swoim głosem, szukając moich źrenic. Chwytałam go wtedy jedną ręką za ramię, odsuwałam z mojego pola widzenia i przybierałam minę skrajnego zaskoczenia (szeroko otwarte usta i oczy:  $\begin{smallmatrix} 0 & 0 \\ 0 & 0 \end{smallmatrix}$ ), jak gdybym właśnie ujrzała coś niesłychanego, co zmuszało mnie do ucieczki.

Poza tym studenci wciąż wygadywali głupstwa. Przy pewnej okazji, gdy spytałam go, gdzie jest Nowy Jork, jeden ze studentów powiedział:

– Wiesz, gdzie jest dworzec kolejowy? Nowy Jork jest stamtąd 8 minut na południe.

Poszłam na dworzec i szłam w kierunku południowym, sprawdzając od czasu do czasu godzinę na moim zegarku na bransoletce. Po 8 minutach nadal byłam na peronie, a za peronem przeszłam kolejne 15 minut. Nic. Szyny, drzewa i nic ponadto.

O ile lepszy byłby świat, gdyby ludzie nie używali metafor.  
I eufemizmów.

Metafora: powiedzieć jedno, żeby wyrazić drugie.

Eufemizm: przebrać coś wielkiego za coś małego albo coś okropnego za coś dobrego.

Przykład. Zajęcia z metod zabijania różnych gatunków zwierząt nazywały się „Wstęp do nauk o przemyśle mięsnym”.

Przykład. Zajęcia, na których uczono, jak zarabiać na zabijaniu zwierząt, jak nimi handlować w całości lub w kawałkach (skóra, trzewia, rogówka oka, pazury, futro, zęby, gruczoły), nazywały się „Ekonomika przemysłu zwierząt”.

Przykład. Zajęcia, na których pokazywano, jak torturować żywe zwierzęta (odurzając, stosując wstrząsy elektryczne albo krzyżując, by potem otworzyć żywcem), nazywały się „Nauki eksperymentalne, część I, II i III”.

Przykład. Zajęcia, na których wyjaśniano prawo *homo sapiens* do zabijania zwierząt, nazywały się „Inteligencja ludzka”.

Profesor Huntington był najcenniejszym wykładowcą na wydziale, przynajmniej tak mówiono, i nazywano go Zabójcą, ponieważ:

1. był ekspertem numer 1 w dziedzinie uboju na kontynencie amerykańskim,
2. był wykładowcą, który oblewał najwięcej studentów.

Był to kościsty typ, w wieku mniej więcej 60 lat, o twarzy tak bladej, że wyglądała jak z wosku, nosił białe koszule z krótkim rękawem i zawsze był w krawacie, zawsze czarnym i zawsze cienkim. Być może nawet we śnie, przynajmniej Ja tak go sobie wyobrażałam: śpiącego

na łóżku w białej koszuli, cienkim czarnym krawacie i zwężanych szarych spodniach, zaprasowanych w idealnie prosty kant.

Nosił okulary w grubych oprawkach.

Jak już wspominałam, był gwiazdą wydziału. Jemu to zawdzięczano ni mniej, ni więcej, tylko słynny pistolet do oghuszania bydła.

Pistolet na sprężone powietrze, który, przystawiony do czoła zwierzęcia, oghusza je na 1 minutę.

Niech będzie wół. Umieszcza się go w klatce, której kraty za pomocą systemu mechaniczno-elektrycznego zbliżają się do siebie, by ścisnąć wołu po bokach i unieruchomić go. Tak ściśnięty wół już się nie stresuje, przeciwnie, uspokaja się.

Wówczas oblicza się punkt centralny między oczami wołu, przystawia się do niego pistolet, strzela się i wół traci świadomość. Wtedy rzeźnik ma dokładnie 1 minutę, ani mniej, ani więcej, żeby poderznąć mu gardło i zawiesić go na haku, by się wykrwawił.

To mniej bolesna metoda, niż zarznąć żywcem. Albo niż zarznąć po uderzeniu młotkiem, po wbiciu w czoło piki lub długiego gwoździa czy też po porażeniu prądem przy użyciu 2 elektrod umieszczonych na skroniach, jak zwykle się to czynić przed wynalazkiem Huntingtona.

Pistolet Huntingtona został wynaleziony właśnie po to, by zabijać woły przy jak najniższym poziomie stresu, zatruwającego toksynami ich krew, ale przerósł wszelkie oczekiwania, kiedy na targach, w których uczestniczyło ponad 5 tysięcy hodowców z całej planety, Huntington zademonstrował, że jest równie zdalny do uboju krów, koni, jagniąt, wieprzy, w ogóle wszelkich czworonożnych ssaków, i że niekoniecznie wymaga izolowanej klatki o ruchomych kratkach.

Pistoletu można było używać na wolnym powietrzu, bezpośrednio na czole czworonoga, o ile strzelało się wystarczająco szybko. To znaczy zanim zwierzę zdało sobie sprawę, że dzieje się coś dziwnego. Przystawiało się pistolet do czoła, przy wystrzale słychać było: pafff, i gotowe.

Do ruchomej taśmy z kauczuku uwiązano 150 jagniąt i Huntington osobiście strzelał im w czoła w rytmie 4 na minutę: pafff,



Pewnego poranka drzwi mojego pokoju otwały się i stanęła w nich czarnulka z warkoczem i z walizką w każdej ręce. Zobaczyła mnie siedzącą przy stole, pochłoniętą wpatrywaniem się w ekran kamery wideo, na którym dłoń Huntingtona rysowała plan.

Czarnulka powiedziała:

– Spodziewałam się zastać cię zwisającą z uprząży i przebraną za nurka. Uśmiechnęła się.

Nie odpowiedziałam. Teraz Huntington ostrzył swój grafitowy ołówek HB stalową temperówką. Przewinęłam taśmę, przygotowałam swoją temperówkę i swój ołówek, identyczne jak jego. Włączyłam kamerę. Naśladowałam sposób, w jaki Huntington bez zatrzymywania ostrzył ołówek, podczas gdy po drugiej stronie temperówki zakwitały drewniane strużyny, a potem podnosił szpic ołówka do ust i dmuchał 2 razy, by uwolnić go od każdej drobinki grafitu.

W międzyczasie czarnulka umieściła swoje walizki na łóżku i zaczęła się rozpakowywać, a chodząc od walizek do szafy i z powrotem, poinformowała mnie, że studiuje psychologię, wie wszystko o moim przypadku i uważa go za fas-cy-nu-ją-cy, a także że będziemy chodzić razem na zajęcia z psychometrii profesor Pauliny Glickman, która pochodziła z Chile, czyli była hiszpańskojęzyczna, tak jak Ja i ona, bo ona też była Meksykanką i miała na imię Selma, bardzo jej miło mnie poznać.

Wstałam z krzesła i wyszłam, zatraskując za sobą drzwi. Nie, nie było mi miło stracić pokój, który miałam tylko dla siebie.

Towarzyski: skłonny do kontaktów z ludźmi.

Selma była najbardziej towarzyską osobą, jaką wtedy znałam. Poprawka: jaką kiedykolwiek znałam. Patrzyć w czyjeś źrenice oznaczało dla niej żyć. Jeśli była niedziela i nie było zajęć ani studentckiego Miksera, nie spotykała się z nikim, z koleżanką lub, chętniej, z chłopakiem, wówczas włączała telewizor albo otwierała gazetę, żeby nadal patrzeć w źrenice i dowiadywać się o kolejnym cudzym życiu.

W najgorszym wypadku szła do kina i płaciła 5 dolarów, by móc oglądać na ekranie twarze o wymiarach 3 na 4 metry.

Jeśli te tysiące twarzy na ekranach lub wydrukowanych na papierze zostawiało ją „pustą”, jak zwykła była mówić, rozmawiała przez telefon z kimś, kto sprawiał, że czuła się „pełna”, jak mówiła.

A jeśli to nadal nie wystarczało, uczepiała się mnie i zmuszała, żebym dzwoniła do kogoś, kim w moim wypadku mogła być tylko moja ciotka.

Siadała na skraju łóżka i pilnowała, żebym Ja, siedząc na skraju drugiego łóżka, nawiązała przez telefon „zażyły kontakt” z ciotką. Uśmiechała się, smutniała, wykonywała sekwencję 15 wyrazów twarzy o różnych emocjach.

Pewnego dnia bez ogródek wyrwała mi telefon i oskarżyła mnie przed ciotką Isabelle, że dostaję listy z 2 cytrynowymi liśćmi i wącham je całymi dniami, ale nie chcę odpisać temu, kto mi je wysyła.

Ciotka wyjaśniła jej, że Ja nie mam w zwyczaju odpisywać na listy.

Tak oto zaczęła się zażyła relacja między Selmą a ciotką Isabelle, której tematem byłam Ja i w ramach której decydowały o mnie.

Na przykład, że po prostu musiałam przyjść któregoś dnia na Mikser. Albo że musiałam przestać uważać Zabójcę za geniusza i zdać sobie sprawę, że naśladowanie po nocach sposobu, w jaki trzymał ołówek podczas rysowania, było głupotą.

To nie była głupota. Jeśli nie nauczyłabym się rysować planów tak jak Huntington, nie zaliczyłabym zajęć z planów – części I, części II i części III – i nie skończyłabym studiów. Ale Selma i ciotka nie zdołały tego pojąć.

W pokoju były 2 regały na książki. Jeden przy ścianie przylegającej do okna, który należał do mnie, i drugi obok łóżka Selmy, który należał do niej.

Mój regał stopniowo wypełniał się książkami o zwierzętach, a jej – książkami o relacjach międzyludzkich. Tym razem to ja nie pojmowałam, jak to możliwe, że żadna z jej książek nie dotyczyła niczego, co istnieje poza nieskończonym kręgiem twarzy. Powiedzmy, morza albo rozpalonej pustyni, albo śniegu na biegunach planety.

Nic z tego, nic spoza bańki ludzkich twarzy nie istniało dla psycholożki Selmy.

Mikser było to wieczorne spotkanie na słabo oświetlonym patio, w czasie którego przyrządzano hamburgery i słuchano muzyki, a studenci w szortach i koszulkach przystawali w konfiguracjach 2 na 2 albo 3 na 3, żeby rozmawiać i śmiać się, jeszcze więcej rozmawiać i pocić się w skwarze lata, patrząc sobie w żrenice i pijąc alkohol rozcieńczony napojami o sztucznych smakach, a przede wszystkim szukając kogoś, z kim mogliby stworzyć stabilną dwójkę, to znaczy sparować się.

W pewnym momencie, gdy już stworzyły się liczne pary, muzyka stawała się wolniejsza, a słowa piosenek zawierały instrukcje na temat łączenia się w pary i rozpoczynał się 2. etap parowania:

Pary obejmowały się i przemieszczały: jeden krok w jedną stronę, drugi w drugą, strefa łonowa jednego przylegająca do strefy łonowej drugiego, choć z kilkoma warstwami materiału pośrodku.

Pozbawieni par nadal rozmawiali między sobą, tym razem głośniejsze i pijące nieprzerwanie, przygnębieni, że noc mijała, a oni nie znaleźli sobie nikogo do pary. Nagle ktoś chwiał się pijany i upadał na trawę. Nagle 5 osób, rozbitych i ze spuszczonej głowami, wychodziło gęścio z Miksera. Nagle, w jakimś ciemnym zakątku, czworo lub pięcioro podawało sobie skręta marihuany i padało na trawę jedno po drugim pokonane.

A wszystko to w czasie, gdy sparowani wciąż obejmowali się na parkiecie: jeden krok w jedną stronę, drugi w drugą, złączone strefy łonowe z ubraniami pośrodku.

Rozpoczynała się faza 3.:

Niektóre z par, trzymając się za ręce, wchodziły do akademika, w którym odbywała się impreza, i po schodach do pokoiów, zamykały drzwi i jak mogłam zobaczyć przez dziurki od klucza w niektórych drzwiach, tym razem parowali się na poważnie.

Technicznie rzecz biorąc: w końcu łączyli swoje łona bez ubrania, samiec wprowadzał członek we wzwodzie do pochwy samicy i ujeżdżali się nawzajem energicznie, krzycząc, jęcząc, obliźniętym się i tak dalej, jak to się dzieje podczas kopulacji wszystkich czworonożnych ssaków.

Tymczasem na dole, na trawie w ogrodzie, pokonani, wciąż jeszcze ubrani, pochorowali się. Kroś płakał, kroś chodził chwiejnym krokiem od drzewa do drzewa, szukając odrobiny prywatności, by zwrócić treść żołądka, a kroś inny, przytulony do pnia, tłumaczył pośród szlochów, że tęskni i że tęskni za kimś, kto jest jego prawdziwą parą do parowania się i mieszka bardzo daleko, albo coś równie nieprawdopodobnego.

Selma była uniwersyteckim numerem 1 w procesie łączenia się w pary. Rzadko miewała tę samą parę i nigdy bez pary nie zostawała. Oto w jaki sposób to osiągała. Utrzymywała „zażyły kontakt”, jak nazywała rozmowy o sprawach osobistych, z 30% studentów (w przybliżeniu) i z tych 30% zawsze znalazł się na Mikserze kroś nowy, z kim mogła wejść w kontakt genitalny. Tym sposobem, do czasu jak przestałam ją widywać, Selma wymieniała płynny ustrojowe z 10% studentów uniwersytetu.

Trzeba podkreślić, że był to duży uniwersytet.

Ale nadal śmiesz mnie jedno. Selma nie zdawała sobie sprawy, jak dobra w tym była. Czasem wieczorami, gdy obie leżałyśmy w łóżkach, mówiła w ciemności naszego pokoju:

– Och, Karen, jestem taka samotna. Nie umiem sobie nikogo znaleźć.

Ale jak już pisałam, to cecha wspólna dla wszystkich ludzi. Nie tylko idą przez życie, myśląc, że myślą, więc są, ale też zwykle myślą o czym innym niż to, co mają przed sobą.



Albo mówiła coś jeszcze dziwniejszego:

– Och, Karen, muszę odszukać samą siebie.

Co wydawało mi się już szczytem. Gdzież miałaby znaleźć samą siebie, jeśli nie tam, gdzie była, rozłożona na łóżku, mówiąc te słowa?

Wkładała spódnice w szkocką kratę i białe podkolanówki, zaplatała czarne włosy w 2 warkocz i szła na wydział psychologii, gdzie na 4. piętrze wchodziła do gabinetu 75-letniego psychoterapeuty i kładła się na kozetce, by dokładnie przez 50 minut poszukiwać samej siebie.

Niewiarygodne: przez 50 minut zajmowała się szukaniem samej siebie w pomieszczeniu o wymiarach 4 na 4 metry.

Dlatego się tak ubierała, jak uczennica szkoły średniej, tego nie wiem, ale wracała zapłakana, bo tego popołudnia równieź się nie odnalazła.

– Och, Karen – powiedziała pewnego wieczoru, leżąc w łóżku – z każdym dniem jestem coraz bardziej zagubiona.

Podczas jednego z Mikserów, około 1.00 nad ranem, Selma skończyła ze swoją parą, włożyła obcisłe dżinsy i koszulkę i poszła mnie szukać.

Znalazła mnie w głębi lasu piniowego, stojącą na wprost wiszącego między piniami łańcucha z kolorowych lampek, a w oddali ledwo było słychać piosenki do łączenia się w pary.

Poczułam, jak siada obok mnie.

– Co robisz? – zapytała radośnie, czyli tak jak zwykle, pomijając te chwile, w których rozpaczliwie poszukiwała siebie samej. – To znaczy prócz patrzenia na lampki.

– Patrzę także na muchy – powiedziałam.

W kolorowym powietrzu latały muchy. Wyjaśniałam:

– Patrzę, jak muchy zbliżają się do lampek i niektóre przysiadają na lampkach.

– Aha – rzekła Selma.

Wyjaśniałam dalej. To były lampki energooszczędne, więc emitowały zimne światło, a ich szkło się nie nagrzewało, dlatego muchy,

zwbione przez światło, mogły siadać, nie parząc się, na czerwonych, niebieskich i żółtych lampkach.

– A gdyby do tego te zimne lampki przewodziły prąd – powiedziałam do Selmy – poraziłyby muchy, które popadałyby martwe na ziemię.

– Ach, Karen – powiedziała Selma ze śmiechem. – Co też ci przychodzi do głowy.

Wówczas wspięła się na palce i zdołała dać mi całusa w szyję, a ja odskoczyłam spłoszona i zrobiłam krok w drugą stronę. Nikt poza ciotką i Ricardo mnie nie całował, choć on pocałował mnie w plecy, no i kiedy spałam.

– Wracam po ciebie za pół godziny – powiedziała Selma i poczułam, jak odchodzi w tę samą stronę, z której przyszła.

Ale rzadko chodziłam na Miksery. Kiedy już zaobserwowałam przebieg procesu parowania się podczas Mikserów, straciłam zainteresowanie i wołałam uczuć się dalej rysowania planów ubojni na zajęcia z przemysłu mięsnego i rybnego.

Profesor wykładający teorię ewolucji był wysoki i chudy, nosił czarne dżinsy i czarne koszulki z krótkim rękawem, miał owłosione przedramiona i wielkie, szerokie usta, a studenci nazywali go Naczelnym.

Na pierwszych zajęciach Naczelnym chodził między ławkami, rozdając cienką książkę i powtarzając:

– Proszę to przeczytać. Proszę to przeczytać. W razie wątpliwości proszę szukać mnie w moim gabinecie. Proszę to przeczytać.

Była to książka *O powstawaniu gatunków* Karola Darwina i nigdy nie zdecydowałam się jej powtórnie przeczytać. To znaczy przeczytać i znów przeczytać. I jeszcze raz przeczytać.

Selma zwykła wchodzić do pokoju z zamkniętymi oczami i mówić:

– Nie mów, co robisz, sama zgadnę. Próbujesz rysować jak Zająca albo czytasz Darwina.

I z całą pewnością tak właśnie było.

Teraz, wiele dziesięcioleci później, gdy piszę te słowa, pierwsze, co muszę powiedzieć o Darwinie, to to, że już rozumieniem jego

To jest właśnie najciekawsze. Kartezjusz żył w wieku XVII, a Darwin w XIX, jednak ludzie wciąż kształceni są przez Kartezjusza. Przez pierwsze 2 dekady swojego życia uczą się myśleć, że są tym, co myślą, i że myślenie jest umiejętnością nadrzędną, która nicodwierał nie oddziela ich od pozostałych gatunków.

To prawda, że myślenie oddziela ich od wszystkiego innego, ale to tylko dlatego, że byli kształceni przez Kartezjusza, a nie przez Darwina.

Doktor Paulina Glickman wjechała do sali na żółtym rowerze, zsiadła i oparła go o ścianę. Duże kwadratowe okulary, siwa grzywka, dziecięce sznurowane buty i uśmiech bobra, ukazujący 2 przednie zęby.

Kazała mi wejść razem z nią na katedrę pod tablicą i w ten oto sposób przedstawiła mnie grupie studentów psychometrii:

– Przed państwem Karen, u której zdiagnozowano autyzm wysokofunkcyjujący.

Wnioskując z entuzjazmu tej prezentacji, sądziłam, że będą mnie okłaskiwać, ale tak się nie stało. Selma odwróciła się w ławce do swoich kolegów i wyszeptwała: „To moja przyjaciółka, moja przyjaciółka”, jak gdybym ja była jej prezentem dla klasy.

Doktor ciągnęła:

– Karen zna wszystkich laureatów Nagrody Nobla w dziedzinie nauk ścisłych. Karen, usiądź, proszę, za biurkiem i wymień ich dla nas.

Usiadłam za biurkiem i wymieniłam. Laureatów Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, laureatów Nagrody Nobla w dziedzinie chemii, laureatów Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny, laureatów Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, od roku 1901 do 1994, w którym żyliśmy.

Gdy skończyłam długą listę nazwisk, dostałam od studentów okłaski na stojąco.

Poprosiłam o szklankę wody i minutę później miałam ją już przed sobą.

Wypiłam ją duszkiem, niespiesznie.

Gdy stawiałam szklankę na biurku, jeden ze studentów podniósł rękę, wstał i z wielkim szacunkiem poprosił:

– Czy mogłabyś teraz wymienić dla nas królów poszczególnych dynastii w historii Francji?

– Nie znam ich – powiedziałam.

Wśród słuchaczy dało się słyszeć pełne rozczarowania „Ooooh”, ale coś mogłam zrobić, skoro naprawdę ich nie znałam.

Powiedziałam:

– Ale mogę wyrecytować 3 rozdziały z *O powstawaniu gatunków*

Karola Darwina.

– Nie dziś – powiedziała doktor i skończyła zajęcia.

Musiałam chodzić na zajęcia z psychometrii w każdy poniedziałek, w pozostałe dni inni byli przedmiotem badań. Siedząc za biurkiem na katedrze, rozwiązywałam testy, które podsuwała mi siedząca przede mną doktor.

Dobre pamiętałam test z planszami, na których były plamy z atramentu. Doktor pokazywała mi je, a ja odpowiadałam:

– Plama z atramentu. Większa plama z atramentu. 2 plamy z atramentu, jedna czarna, druga czerwona. Różne plamy z atramentu.

Po teście zapytałam, jaką dostanę ocenę, a doktor powiedziała rażąco:

– Nie martw się, poszło znakomicie.

Nabrałam pewności, że ona także ma autyzm wysokofunkcyjujący, ale znacznie łatwiej niż ja pozbywa się niepożądanych osób.

Pamiętałam w szczególności test z trójkątami.

Dała mi kilka kolorowych drewnianych trójkątów i z ich pomocą miałam kopiować rysunki, które doktor pokazywała mi na planszach. Ale tym razem wyjęła stoper i trzymając go przed moimi oczami, dała mi tylko minutę na ułożenie każdego rysunku.

Kilakrotnie nie mogłam dokończyć rysunku, gdy mówiła:

– Czas minął!



I wyłączała stoper kciukiem. Coraz bardziej mnie to denerwowało, aż w końcu wpadłam w furję.

Przyszedłam zatem, już nauczona, tydzień później i poprosiłam, żeby powtórzyła ze mną test z trójkątami.

– Nie, dziękuję – rzekła doktor. – Dziś zrobimy inny test.

– Ja chcę jeszcze raz zrobić test z trójkątami – nalegałam.

– Nie, Karen – powiedziała doktor z wrogą miną: 〰〰.

Ja ze swojej strony również przybrałam wrogą minę: 〰〰.

– Karen – powiedziała doktor groźnie – nie bądź uparta.

Cóż, kiedy właśnie jestem uparta. Wyjęłam z plecaka pudełko z trójkątami, które kupiłam w uniwersyteckim sklepie, a dokładniej w dziale poświęconym psychometrii, zdjęłam pokrywkę, odwróciłam je do góry nogami i pach! – kolorowe trójkąty wypadły na stół.

Usiadłam i powoli, z uwagą, jeden po drugim, ułożyłam z pamięci wszystkie 33 rysunków, które doktor Paulina pokazała mi na poprzednich zajęciach.

W międzyczasie doktor usiadła w ławce i razem ze studentami pozwoliła mi w ciszy dokończyć. To prawda, zamiast 35 minut zajęło mi 7 dni, żeby się tego nauczyć, ale nigdy nie wypierałam się tego, że jestem powolna.

Wtedy doktor posłała mnie do szpitala.

Wsadzili mnie do rury z białego metalu. Na następnych zajęciach wszyscy uczestnicy kursu, w tym ja, trzymaliśmy w ręku kolorowe zdjęcie mojego mózgu.

Doktor powiedziała:

– Proszę zwrócić uwagę na istotę białą pomiędzy 2 półkulami. Jak państwo wiedzą, jest to substancja łącząca ze sobą różne funkcje mózgowe. Proszę zauważyć, że istota biała u Karen jest węższa niż w mózgu osoby neurotypowej. Dlaczego jest węższa? Wynika to z programu genetycznego czy jest tak dlatego, że w momencie, w którym powinna była otrzymać określone bodźce, by się rozwijać, nie otrzymała ich?

Myslałam, że zwraca się z pytaniem do mnie, więc powiedziałam:

– Nie wiem, pani doktor.

– I nikt się nigdy tego nie dowie, Karen – powiedziała doktor i zrobiła 3 kroczki w stronę słuchaczy.

– Dlatego – zwróciła się do nich – jej mózg wytwarza mniej połączeń między poszczególnymi obszarami niż mózg normalny. Ale również dlatego Karen ma pewne nietypowe i godne pozazdroszczenia zdolności. Na przykład, jak już nam wiadomo, wyjątkową pamięć. Posiada na przykład również...

Zaczęła zdanie, ale zamiast je dokończyć, przygryzła swoimi zębami bobra dolną wargę, podrapała się w czubek głowy i skończyła zajęcia.

Potem były testy pisemne. Testy ze zdjęciami. Same testy i testy.

Tak minął cały kurs.

Pod koniec ostatnich zajęć doktor obiecała, że dostanę ocenę celującą, a ja poprosiłam, żeby pokazała mi wyniki testów psychometrycznych.

– Nie jest to konieczne ani godne polecenia – odpowiedziała. –

Powtarzam, jesteś doskonała.

Już miałam jej odpowiedzieć, ale wsiadła na swój żółty rower i razem z Selmą patrzyliśmy, jak pedałuje i odjeżdża korytarzem, a potem przez okno zobaczyliśmy, jak jedzie ścieżką między piniami. Wtedy Selma zaprosiła mnie na lunch.

W kawiarni powiedziała, że jest dumna z tego, że jest moją najlepszą przyjaciółką, że dla swojej najlepszej przyjaciółki zrobiłaby wszystko i żebym jej powiedziała, jakie jest moje największe marzenie. Aż tu nagle, tej samej nocy, ja i Selma znaleźliśmy się w rozklekotanej furgonetce na poboczu jezdni w innym stanie Stanów Zjednoczonych Ameryki, w Pensylwanii, popijając czarną kawę i czekając na świt.

Jasne niebo powoli roso na widnokręgu i mogliśmy zobaczyć najbardziej humanitarny kompleks ubojni bydła na kontynencie amerykańskim.

Jest w tym pewna nieścisłość. W rzeczywistości z rozklekotanej furgonetki nie było widać poza ogrodzeniem z szarego betonu, które wyrastało z zielonej trawy naprzeciw skalistych żółtych gór.

– To jest ogromne – wyszeptwała Selma.

Po wyjściu z furgonetki włożyłam na strój do nurkowania, ale bez maski i płetw, szary kombinezon, kurtkę i żółty kask, które kupiłam w sąsiedniej miejscowości. Selma przytaczała mi plecak, żebym założyła go na plecy, jedną ręką podniosłam z trawy swoją kamerę wideo, a drugą linię alpinistyczną z hakiem i ruszyłam przed siebie.

Ale zawróciłam, by zapytać Selmę:

– A co, jeśli Zabójcy nie spodoba się, że robię pracę roczną na temat jego kompleksu?

– Będzie mu to schlebować – powiedziała ona. – Czyż ten zakład nie jest jego największą dumą?

Zastanowiła się ponownie i rzekła drżącym głosem:

– Ale słuchaj, Karen, mam prośbę. Nie mów mi, co tam w środku zobaczysz.

Stanęła na palcach, żeby złożyć usta na moim policzku, ale zrobiłam krok w drugą stronę i nie dała rady.

– Zgoda – powiedziałam.

Zawróciłam. Pachniało chlorofilem, a słyszeć było świerszcze i gwizdanie ptaków.

Okazało się, że ogrodzenie wcale nie było takie wysokie. Zahażyłam linię o jego krawędź, wspięłam się po niej, stanęłam na szczycie ogrodzenia.

Tak, kompleks był ogromny.

Przedemną rozciągały się 2 kilometry pastwisk, a sam kompleks znajdował się jeszcze dalej. Po lewej była okrągła zagroda, w której było, przypominające z daleka mrówki w kolorze kawy, poruszało się powoli i spokojnie. Szutki bydła zniknęły stamtąd w korytarzu o wysokich ścianach z czerwonej cegły, który prowadził do pozbawionego okien bloku z białego betonu, o szerokości około 1/4 kilometra. Wreszcie pojawiały się ponownie na parkingu po prawej stronie bloku, a raczej wylaniały się już w postaci paczek pokawałkowanego mięsa, zapakowanego i schłodzonego, które małenicy pracownicy przewozili na wózkach i ładowali do 55 czerwonych ciężarówek, z których każda miała na boku mikroskopijny napis:

Moje bury wylądowały twardo na gliniastej ziemi.

Plany pozostałych studentów miały wymiary 1,5 na 0,7 metra, każdy z nich zwinięty i umieszczony w tubie rysunkowej o długości 0,8 metra. Mój mierzył 5 na 7 metrów, był zwinięty i umieszczony w tubie rysunkowej o długości 5 metrów.

Kiedy Gabriel Short wywołał moje nazwisko i zeszłam z tą 5-metrową tubą, w auli zapadła cisza. Gabriel tylko pokazał ręką, żebym położyła ją na biurku razem z pozostałymi planami.

Zobaczyłam, jak Short wychodzi z planami w czymś w rodzaju skózanego wiadra, które niósł na plecach. Mój plan trzymał pod pachą. Na rogu, na którym skręcał, musiał pomanewrować chwilę moim planem, by w końcu móc zakręcić.

Tydzień później poszłam do sali 37 po swoją ocenę. Przyjrzałam się liście ocen przypiętej do tablicy. Połowa studentów oblała, a przy moim nazwisku nie było oceny, tylko zapisana ołówkiem uwaga:

*Proszę przyjść do mnie do domu w sobotę o 12 w południe.*

Podeszłam do biurka, przy którym Short oddawał plany przybyłym studentom.

– Mój plan – poprosiłam.

– Proszę przyjść do domu pana doktora w sobotę o 12 w południe.

Był to dwupiętrowy dom z wielkich okien, o kantach z czarnego metalu, otoczony zielonymi piniami. Dom, który, jak usłyszałam przy jakiejś okazji, został zbudowany przez słynnego architekta. Architekta Wrighta.

Wreszcie otworzył mi Short. Popatrzyłam na dach, a on na moje bury z żółtej skóry.

– Wejść – powiedział i przepuścił mnie w drzwiach.



Zatrzymałam się na schodach, by spojrzeć na słynne odznaczenie Komitetu na rzecz Humanitarnego Uboju Zwierząt. W szklanej ramce wisiała błkitna wstążka, duża złota moneta z profilem jakiegoś pana w płaskorzeźbie i napisem: *Nihil consensusi tam contrarium est, quam vis atque metus: quem comprobare contra bonos mores est, co* jest po łacinie, a jako że ja nie mówiłam po łacinie i dalej nie mówię, nie wiedziałam, co to znaczy, i nadal nie wiem.

– Nie każ mu czekać – wymamrotał Short 4 stopnie wyżej.

Huntington stał w swoim gabinecie na piętrze, a mój plan, wielki jak dywan, był rozwinięty na podłodze.

Powiedział:

– Trzeba mieć jaja albo być bardzo głupim, żeby to zrobić. O, przepraszam panienkę, trzeba mieć tupet. Żeby narysować plan mojej instalacji uboju bydła i przedstawić go jako swoją pracę roczną.

Poprawił okulary, grube jak szkła powiększające.

– Szczegółowość twojego rysunku jest... Jak by to powiedzieć? Obłądana. Narysowałaś po kolei wszystkie cegły korytarza, którym wchodzi bydło.

– Bo jest z cegły, cegły – powiedziałam.

– Tak – rzekł on – z czerwonej cegły.

– Z czerwonej – potwierdziłam ja.

– Narysowałaś pompę wodną, która znajduje się w części zewnętrznej korytarza prowadzącego do ubojni. Narysowałaś przewody kanalizacyjne na suficie łaźni. Narysowałaś tabliczki z osiągnięciami firmy, które są wszędzie. Każdą z 33 pieprzonych mosiężnych tabliczek. Narysowałaś dwumetrową płachtę, która przypadkiem wisiała na rurowie w komorze śmierci. Czy ty nie chodziłaś na mój kurs, Karen?

– To już 3 kursy. Chodziłam na każde zajęcia w trakcie 3 kursów. I rysowałam plany przez około 1000 godzin, by się przygotować.

Huntington parsknął, jego nozdrza poruszały się bardzo szybko, a ja nie rozumiałam jego złości.

– Plan to abstrakcja – podniósł głos. – Powinien zawierać wyłącznie użyteczne informacje. Dziwne, że nie zrobiłaś planu o powierzchni 30 metrów kwadratowych.

– Nie udało mi się zdobyć arkusza papieru o takim rozmiarze.

– Skup się! – krzyknął. – Plan pomija szczegóły, żeby uchwycić ogólny projekt! To... – powiedział Zabójca łagodniej, podnosząc buciem krawędź planu. – To głównie jest bezużyteczne.

– Jest użyteczne dla bydła, bydła – wyszeptalam.

– Słucham? Nie słyszę cię, powtórz.

– Jest użyteczne dla! – podniosłam głos. – Dla bydła!

Huntington wygiął w łuk nad okularami obydwie brwi, zaszkodzony.

– Bydło nie zna się na planach!

Przełknęłam ślinę i spięta krzyczałam dalej:

– Chodzi o to, że na planie widać wszystko, co widzi i słyszy bydło!

– A skąd ty, do ciężkiej cholery, wiesz, co widzi lub słyszy bydło?!

– Przeszłam z bydłem przez całą instalację aż do komory śmierci!!! – Przeszłaś?!...

Huntington zacisnął wargi. Podrapał się po głowie.

Zaczął znów mówić normalnym tonem:

– Kto cię wpuszczał? Tam jest wstęp wzbroniony.

– Przeskoczyłam przez ogrodzenie.

– I w środku nikt cię nie zatrzymał?

– Miałam na sobie taki sam strój jak pracownicy.

– Skąd go, do cholery, wzięłaś?

– Kupiłam go w sklepie w miejscowości, w której mieszkają.

– To przestępstwo – rzekł Huntington, grożąc mi palcem wskazującym. – Wtargnęłaś na teren prywatny. To ciężkie przestępstwo zasługujące na karę więzienia.

Ale zaraz przybrał przyjacielską minę: ☺.

– No i co, panno Zdolna Inaczej? Bydło nie finansuje ubojni.

– Aha – powiedziałam.

– Ironia! – wykrzyknął on.

I zaszywał przez zęby, sądząc, że był to śmiech. Wściekły śmiech w każdym razie. W końcu poprawił czarny krawat.

– To była ironia – powtórzył. – Cholera, nieważne. Jesteś robotem. Pozaziemskim androidem. Dobra, nieważne.

Zniżył głos, mówiąc:

– W porządku. Opowiedz mi, co widziałas.

– Krowy – zaczęłam – reagują lękiem na cegły, bo ich nie rozpoznają, nigdy nie były w żadnym tunelu z czerwonej cegły, a poza tym czują się uwięzione i nie wiedzą, dokąd iść. Potem krowy prze-raża huk silnika pompy wodnej, który jest bardzo głośny, jak wielkie rozświetlone zwierzę. Przerażone krowy czują, że kołyszą się na ruze długa czerwona płachta stanowi kolejne niebezpieczeństwo, i na jej widok, kołyszącej się w górze i cieknącej, wycofują się, depczą wzajemnie i boją coraz bardziej. Każda mosiężna tabliczka, w której odbija się słońce, oślepia je i niepokoją się jeszcze bardziej, ryczą. Na tym zakręcie krowy rozbijają się, rozbijają się, jedno o drugie, o drugie, wyjąc. Bardzo zestresowane, bardzo zestresowane trafiają do komory śmierci i widzą – bo muszą to zobaczyć, czekając na swoją kolej – jak przystawia się pistolet ogłuszający do głów innych krow, innych krow, które są ich przyjaciółkami, z którymi spędziły ostatnie dni, widzą, jak do nich strzelają, strzelają, i wtedy stresują się o wiele bardziej, i, i.

– Możesz mówić, nie jękając się? – przerwał mi gwałtownie Huntington.

– Nie, teraz nie – powiedziałam. – Jestem bardzo, bardzo zestresowana.

Dodałam:

– Dlatego potrzebowałam tak dużego planu, planu, żeby zawrzeć te wszystkie szczegóły.

Huntington zaczął krążyć zdenetrowany wokół planu, mówiąc:

– Dobra, jakaj sobie, co chcesz, ale zltruj się nade mną i przestań pleść bzdury w stylu: krowy czują to i tamto, krowy się boją, krowy widzą swoje przyjaciółki. Przestań tak mówić, jeśli chcesz brzmieć jak zootechnik, a nie jak idiotka. Nikt nie może czuć tego co bydło, poza



samym bydłem. Ty tylko interpretujesz to z ludzkiego punktu widzenia. Wyby, więc uznajesz, że były przerażone. A może były głodne. A może śpiewały na cześć boga bydła.

Zasyczał, więc chyba się śmiał.

– Tak czy inaczej – powiedział, przerywając raptownie – ten twój plan to jedna wielka pieprzona bzdura.

Pieprzona: od czasownika „pieprzyć”, odpowiednika angielskiego czasownika *fuck*, którego Huntington miał użyć tego popołudnia wiele razy i w różnych derywacjach.

Zauważyłam za jego plecami gablotkę z dubeltówką i przestraszona spuściłam wzrok.

On ciągnął:

– Po pierwsze, żeby zobaczyć to, co tak naprawdę widziały krowy, musiałabyś mieć oczy po bokach głowy, tak jak bydlę, czyż nie?

Zastanowiłam się nad tym chwilę. I odpowiedziałam:

– Jest taka możliwość.

– Nie, to nie jest pieprzona możliwość! – wykrzyknął on. – To jest pieprzony absolutny pewnik! Mieć oczy po bokach głowy to coś zupełnie innego, niż mieć je na środku twarzy, tak jak ty! To patrzeć pod szerokim kątem, ale nie daleko, podczas gdy ty patrzysz pod wąskim kątem i w głąb! W porządku! Już dobrze, dobrze – uspokoił sam siebie. – Zostań na obiad.

– Na obiad? – zapytałam.

– Tak, na obiad – powiedział, wciąż jeszcze spięty. – Chcę ci złożyć propozycję, pannino Bydło. Ale najpierw napijmy się whisky.

Na parterze napił się on i Short, bo ja nie piję, i ze szklankami whisky w dłoniach posadzili mnie przy stole w jadalni.

Nie wiem skąd pojawiła się służąca i podała supę. Przyjrzałam się zupie, była pomidorowa. Usłyszałam, jak Huntington mówi:

– Pamiętasz to, co powiedziałem kiedyś na zajęciach o ptaszku ze złamanym skrzydłem. Powiedziałem, że miłośnierze jest złamać mu drugie skrzydło, żeby nie podejmował na próżno wysiłku latania.

Cóż, nikt nie zaprzeczy, że posiadałaś zdolność rysowania, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem.

– Zdolność fotograficzną – wymamrotał Short.

– Tak, fotograficzną – potwierdził Huntington. – I to jest twoje zdrowe skrzydło. Ale masz niski iloraz inteligencji. To jest twoje złamane skrzydło. Nikt nie je zupy, przejdźmy do mięsa.

Drobiać w popłochu, służąca pospieszyła wymienić talerze, z tych do zupy na te do mięsa.

Huntington odkroił nożem kawałek steku. Widelcem włożył go do ust i przeżuł. Wciąż żując, wskazał nożem na mój talerz.

– Jedz – zarządził.

– Nie jem mięsa – powiedziałam.

On powiedział:

– Zootechnik wegetarianka. Pieprzona pretensjonalność. No do brze – rzekł Huntington po chwili ciszy, w czasie której słychać było tylko szcęk strućców na zastawie. – Oto dylemat, przed którym stoję jako nauczyciel. Mogę cię odwieść od dalszej nauki, to znaczy uniemożliwić ci ją, to znaczy oblać cię i serdecznie polecić władzom uniwersytetu, żeby cię wylali. Albo...

Odkroił kolejny kawałek mięsa. Włożył je do ust i przeżuwał, dokończył myśli:

– ... albo mogę dodać ci skrzydeł, Karen. Znasz to wyrażenie: dać komuś skrzydeł?

– Da mi pan skrzydła? – powiedziałam, próbując naprędcie orzec, czy Huntington rzeczywiście mógłby mi dać skrzydła.

– Dam ci wspaniałą szansę – powiedział on i przełknął mięso. – Dam ci szansę zastępując złamane skrzydło, którego ci brakuje. Pożyczę ci skrzydło. Rozumiesz?

– Nie wiem – powiedziałam.

Short wyciągnął rękę po młynek do pieprzu.

– Chodzi mi o to – rzekł Huntington – że dam ci możliwość zostania kimś w tej branży. Mówiąc krótko, proponuję ci pracę.

Nie mogłam w to uwierzyć i powiedziałam:

– Nie mogę w to uwierzyć, dokrociez Huntington.

– To uwierz. Nic ci po zdolności do rysowania tego, co już istnieje. Z taką umiejętnością możesz zostać pejzażystką i jeździć z wystawami po festiwalach sztuki w jakichś miastach, ale nie możesz zostać prawdziwą inżynierem zootechniki. Możesz za to rysować plany dla Charlesa Huntingtona.

Wyglądziłam obrus przed sobą z zamiarem pozbycia się każdej pozostałości powietrznej, jaka na nim powstała.

– Ja wymyślałam projekt – wyjaśnił Huntington – opisuję ci go, robię ogólny szkic, a ty go wypełniasz. Czynisz go wiarygodnym dla nauczycieli. Moglibyśmy nawet wydać wspólnie książkę w dużym formacie. Short, pokaż jej naszą książkę – powiedział, a ja nie odrywałam wzroku od obrusu.

Short podsunął mi pod nos dużą książkę, a na białej okładce widniał czerwony napis:

## ZABIJAĆ Z LITOŚCIĄ

Charles Huntington

– Jak ci się podoba książka Shorta i moja? – usłyszałam, jak pyta Huntington.

Nie podnosząc wzroku, powiedziałam:

– Nie pojawia się na niej nazwisko Shorta.

Usłyszałam tłumaczenia Shorta:

– Nie wypadło umieszczać mojego nazwiska na okładce. Polityka wydawcy.

– Cóż więcej mogę powiedzieć – usłyszałam Huntingtona. – Chcę cię zatrudnić jako moją prawą rękę. Moją rysowniczkę planów.

Co więcej, za sporym wynagrodzeniem. 3 tysiące dolarów na miesiąc za pół dnia pracy dziennie. Do tego połowa punktów potrzebnych do skończenia studiów. Będziesz pracować tutaj, nie musisz chodzić na moje zajęcia, które są najważniejszymi i najtrudniejszymi

przedmiotami na kierunku, a i tak uzyskasz tytuł, którego w przeciwnym wypadku, obawiam się, nigdy byś nie uzyskała. Co o tym sądzisz?

Ręka Shorta zabrała książkę z mojego pola widzenia.

– Karen? – zapytał Huntington. – Odpowiedz – przykazał. – Co o tym sądzisz? Jesteś zadowolona?

– A moja ocena z kursu rysowania planów?

– Jak zwykle skupiona na pieprzonych szczegółach – wymruczał Huntington, a jego nozdrza znów stały się niespokojne. – Kurs rysowania planów jest gównem wart, Karen.

– Muszę mieć bardzo dobry z tego przedmiotu – powiedziałam.

– Czego tutaj nie rozumiesz, Karen? – powiedział on, opierając łokcie na stole, z napiętymi mięśniami twarzy i oczami jak u żaby za szklami okularów. – Proponuję ci, żebyś została rysowniczką Charlesa Huntingtona. Mów mi zaraz, czego tu, do cholery, nie rozumiesz.

– Muszę mieć bardzo dobry – powtórzyłam.

– Bardzo dobrze – wymamrotał Zabójca. – Dam ci bardzo dobry, jeśli się zgodzisz. Albo dam ci niedostateczny, jeśli się nie zgodzisz.

– Jeśli się nie zgodzę na bardzo dobry? – zapytałam, patrząc w sufit. Przestraszył mnie brzęk: Huntington uderzał łyżeczką w swój kieliszek. Służąca weszła swoim przerażonym kroczkiem, żeby zabrać naczynia.

Zapytałam raz jeszcze:

– Da mi pan bardzo dobry? Muszę dostać bardzo dobry.

Gabriel Short wtrącił:

– Niech ona sobie to przemyśli w czasie wakacji, profesorze.

Wraz z tym pomyśleń atmosfera zelżała.

Ale poderwałam się na dźwięk bicia dzwonu. Ciężki, donośny i zagadkowy dźwięk, którego nie wydawał nikt z siedzących przy stole.

– To zegar w salonie – wyjaśnił Short.

Huntington rzekł:

– Zgoda, Karen. Przemyśl to sobie w czasie wakacji. Ale pierwszego dnia zajęć mam nadzieję usłyszeć „tak”.



Ząsmał się przez zęby, sycząc, i kątem oka zobaczyłam, jak obiema rękami wygląda siwe włosy. Dodał:

– Coś ci powiem. Póki co, postawię ci bardzo dobry. Jako znak dobrej woli. Teraz jesteś zadowolona, Karen?

Potwierdziłam, kiwając wielokrotnie głową.

Przy drzwiach wyciągnął do mnie prawą rękę z przyjacielską miną.

– Nie robię tego – powiedziałam, również z przyjacielską miną. – Nie podaję ręki.

Wówczas wyciągnął prawą rękę w stronę klamki i otworzył drzwi wychodzące do ogrodu.

– Udanych wakacji – powiedział.

– Czy teraz może mi pan oddać mój plan? – poprosiłam.

– No tak, twój plan. A gdzie on został?

– Na górze, w pańskim gabinecie – powiedziałam.

– No tak, na górze. Oddam ci go, jak wrócisz z wakacji. Do widzenia.

– Ale... – zaczęłam, jednak przerwał mi stanowczym głosem:

– Nie zamierzam po niego iść, Karen. Bardzo mnie zmęczyłaś.

Wiesz, że potrafisz być bardzo nużąca, panno Bydło?

– Może Short... – zaczęłam, ale ponownie mi przerwał:

– Short nie jest moim chłopcem na posyłki, Karen! Oddam ci plan, kiedy spotkamy się w grudniu. Raz jeszcze udanych wakacji.

A kiedy zrobiłam już 3 kroki, idąc przez ogród, usłyszałam, jak mówi coś przedziwnego:

– Moje również będą udane, bardzo dziękuję.

Nigdy nie fantazuję. Z wyjątkiem chwil, gdy rzeczywiście fantazuję. Fantazjowanie jest dla mnie tak dziwne, że przyjmuję to, co sobie wyobrażam, za pewnik, jako stan faktyczny.

Kiedy tylko otworzyłam drzwi i zobaczyłam Selmę siedzącą po tu-recku na łóżku i oglądającą telewizję, byłam już pewna: Huntington ukradł mi plan. Już nigdy nie zobaczę mojego planu. Mojego planu, który udowodniał, że jego humanitarna ubojnia była domem grozy.

Huntington potnie go piłą ręczną na 5 kawałków, które włoży do kominka i podpali, ogrzeje sobie dłonie przy ognisku z mojego planu, a mój plan obróci się w popiół w jego kominku.

Zeskakując po 3 schodki, wyszłam z akademika. Nacisnęłam dzwonek do drzwi domu Huntingtona, otworzył Short, złapałam go za ramię, minęłam bokiem i wbiegłam po schodach obok wiszącego na błękitnej wstążce oznaczenia, ale na podłodze gabinetu nie było już mojego planu, prawdopodobnie znajdował się w tubie na rysunki z czerwonej tektury, którą trzymał w ręku Huntington, ruszyłam prosto po plan, ale on odsunął go na bok, mówiąc:

– Spokojnie, Karen, podaruj mi go, cóż ci zależy. Poza tym i tak bardziej należy do mnie niż do ciebie, nie rozumiesz?

– Dlaczego? – powiedziałam.

– Sama pomyśl. To plan mojej ubojni.

Wykrzyczałam mu słowo po słowie:

– JA! TO! CHCĘ! HUNTINGTON!

I szarpnęłam Huntingtona za nadgarstek ręki, którą trzymał tubę. Ścisnęłam go tak długo, aż upuścił tubę na podłogę i wtedy schyliłam się po nią, ale Huntington kopnął ją tak, że potoczyła się pod ścianę i on dotarł tam szybciej ode mnie, podniósł tubę i wyrzucił ją przez otwarte okno.

– Short – zwrócił się do Shorta, który stanął w drzwiach – zejdź do ogrodu po plan. A ty, Karen, odejdz, proszę.

Tyle wysiłku włożonego w kontrolowanie moich emocji, by stały się bardziej wyważone, cywilizowane, jak mawiała ciotka Isabelle, a wystarczyła ta jedna chwila, by wybuchła cała moja wściekłość. Ruszyłam prosto na Huntingtona i prawą ręką złapałam go za szyję tak, że cofnął się aż pod ścianę, a kolaniem zaserwowałam mu kopniaka w jaja, to jest w najdelikatniejszą, z technicznego punktu widzenia, część ciała u samca gatunku ludzkiego.

Huntington zupełnie osłabł, ale przytrzymałam go za szyję pod ścianą, a drugą ręką rąbnęłam go pięścią między oczy.

I wtedy dopiero go puściłam.

Upadł na podłogę jak worek ziemniaków, twarzą do ziemi obok roztrzaskanych okularów, i już się nie poruszył.

Nie ruszał się, podczas gdy spod jego głowy wypływała i rozlewała się plama krwi, sięgając podeszew moich butów.

Zrobiłam krok w tył, żeby nie poplamieć butów krwią.

Wtedy Huntington się poruszył – za jednym zamachem podźwignął się na kolanach i dłoniach i z zakrwawioną twarzą ruszył na czworakach, powłócząc krawatem po podłodze, w stronę gabloty z dubeltówką.

Przed nim dotarłam tam ja, wyjęłam strzelbę zza szyby, wycelowałam w okno, a huk wystrzału odrzucił mnie do tyłu – upadłam na fotel, a strzelba znów wystrzeliła, jak się okazało, tym razem w inne okno, które roztrzaskało się podobnie jak pierwsze.

W trzecie okno strzeliłam już dla czystej przyjemności roztrzaskania go – roztrzaskało się i spadło w kawałkach do ogrodu.

W ogrodzie między odłankami stał Short, jeszcze mniejszy niż kilka minut wcześniej, i trzymał moją czerwoną tubę rysunkową. Upzejmie mi ją podał, a ja w zamian podałam mu strzelbę.

Powiedziałam:

– Powiedz mu, że nie chcę być jego pieprzoną rysowniczką.

I właśnie dlatego wyrzucili mnie z uniwersytetu.

2 dni później schodziłam po schodach domu w Mazatlan w stroju do nurkowania, z płetwami pod pachą i Nunursi wijącą się między moimi nogami z tym precyzyjnym wdziękiem, który nie pozwalała mi jej schwycić, kiedy stawiam krok, a jacyś panowie wieszali na ścianie salonu mój gigantyczny plan, oddany przez ciotkę do oprowadzenia w czarną drewnianą ramę. Wyszłam na taras, gdzie ciotka Isabelle jadła śniadanie z łysym panem, jej nową parą do parowania się, jak mi oznajmiła, pocałowałam w policzek, ciotkę, a nie Łysola, przeszłam przez patio i dotarłam na plażę z drzewkami cytrynowymi, które zasadził dla mnie Ricardo na pamiątkę, zanim odpłynął nie wiadomo dokąd. Zeszłam z drewnianego mola do motorówki, włączyłam silnik i pognałam w stronę widnokręgu, aż w końcu na pełnym morzu wyłączyłam silnik i wreszcie odnalazłam znów krajobraz mojego spokoju.

Niczego ani nikogo ludzkiego w zasięgu wzroku.

Morze i niebo.

Nagle klucz małych czarnych praków jak litera Y.

Słońce, kula białego ognia.

Siedząc na krawędzi motorówki, opadłam bezwładnie na plecy, tak by najpierw zanurzyć się w morzu moją maską tuńczyka.

Maska tuńczyka: zakryłam środek wizjera z nachylonymi lusterkami, które miały pozwolić mi patrzeć na boki, jakbym była tuńczykiem. Zanurzałam się dalej, widząc po obu stronach zieloną wodę.

Kartezjusz pisał nie tylko o ludzkim sposobie myślenia. Napisał inne książki o sposobie uprawiania nauki, których na szczęście nigdy nie przeczytałam. Pod koniec życia napisał także cieniutką książkę o szczęściu, którą owszem, przeczytałam, i która niestety jest mniej znana niż pozostałe.

Po licznych słowach i 25 stronach Kartezjusz napisał, że szczęście to kwestia zmysłów. Widzieć, słyszeć, dorykać, czuć, smakować językiem – oto jest szczęście. Potem zapisał jeszcze wiele karteek pełnych słów, a szkoda, bo dotarł do prawdy już na stronie 25.

Tak, najprostsze i najszcześniejsze szczęście to postrzeganie zmysłami. Myślenie oczami, skórą, językiem, nosem i uszami.

W turkusowej warstwie morza rozciągnęłam się na boku i opadałam, patrząc przez maskę tuńczyka na białe chmury ponad rozświetloną taflą wody.

A gdy patrzyłam na 6 czerwonych ryb sunących od chmury do chmury, znowu przestało być dla mnie jasne, do czego właściwie potrzebna jest fantazja.

Ups! Żółta ryba przesłoniła słońce.

Na chwilę.

W warstwie ciemnoniebieskiej, wirując, zbliżyła się do mnie szara kula i trącając mnie delikatnie w tyśnięć miejsc pac pac pac pac, rozpięzchnęła się na tyśnięć makreli w kolorze stali, które uciekły w głąb ciemnego błękitu.

I znowu: po co konieczna jest fantazja? Fantazja: filozofia, religia lub historie o rzeczach, które nie istnieją.



Po co, skoro istnieje rzeczywistość i zmysły?

Żeby być szczęśliwym, wystarczy postrzegać zmysłami i bez Kartezjusza. Zmysłami i bez słów. Wystarczy całym ciałem przebywać w rzeczywistości.

A żeby być jeszcze szczęśliwszym, trzeba otworzyć się na rzeczywistość, jak gdyby była ona tym, co człowiek myśli.

Trzeba myśleć płetwami tej barrakudy, która pnie się ku górze po przekątnej, zostawiając za sobą smugę baniek.

Miedzy czerwonymi wstążeczkami w czerwonym lesie alg znalazłam wolny kawałek piasku z płaskim kamieniem na skraju, położyłam na nim głowę, czekając, aż ciało opadnie na piasek.

Białe trójkąt: biała manta. Kiedy jej cień przesunął się wzdłuż mojego ciała, ustawiłam alarm w liczniku butli tak, by zadzwonił, gdy zostanie tylko tyle tlenu, ile potrzeba, by wrócić na powietrze, i odeszłam od Ja: moje Ja rozpuściło się w niebieskiej wodzie, ciężkiej i niespiesznej, w tym ogromnym, szczęśliwym Nie-Ja – w morzu.

Ciekawostka. Otóż pewnego słonecznego poranka znalazłam wiąznię na gwoździu na ścianie mojego pokoju i blyszczący niczym mały płaski okrągły reflektor złoty medal Komitetu na rzecz Humanitarnego Uboju Zwierząt.

Jak już opowiadałam, wszystko, co osiągnęłam, kosztowało mnie wiele wytrwałości, wiele uporu, istna udręka, jednak mam to niewielkie szczęście, że rzeczy, które bardzo mi się podobają, potem pojawiają się nagle w moim domu.

Tuńczyki żółtopłetwe są zawsze w ruchu. Nigdy nie śpią.

Naprawdę, nigdy się nie zatrzymują, żeby spać ani nawet żeby odpocząć. Gdyby się zatrzymali, zatoniłyby i umarły, więc spędzają całe swoje życie na migracjach.

Cale swoje życie: od 7 do 11 lat.

Migrują gromadami po ciepłych wodach wzdłuż wybrzeża kontynentu amerykańskiego, od Stanów Zjednoczonych aż po Chile i z powrotem na północ. Nie mają swojego kalendarza jak inne odmiany tuńczyka, nie trzymają się stałego rocznego szlaku, a miejsca ich tarła się nie powtarzają, ale jedno robią na pewno: nie przestają migrować.

Jak twierdzą niektórzy biologowie, migrują w poszukiwaniu pokarmu, bo migrując, spożywają codziennie równowartość 1/3 swojej wagi. To tak, jakby powiedzieć: podróżują przez ocean, żeby jeść, żeby dalej podróżować. W jakimś momencie wielomilowej podróży przyłączają się do nich delfiny, które płyną górą. Oddychają u góry przez dziurki, które mają w czołach. Prowadzą górą. Czuwają u góry na wypadek pojawienia się napawającego zgrozą rekina albo wieloryba tuńczykożercy.

Wiele metrów niżej gromada tuńczyków łapie mniejsze ryby. Gdy je przeżuują, kawałki pokarmu unoszą się w górę do poziomu delfinów, żywiących się tymi resztkami.

W połowie drogi znajduje się wybrzeże Meksyku. I czają się meksykańskie kutry do połowu tuńczyka.

Bardzo wysoko w górze, ponad 35 tysięcy kilometrów nad poziomem morza, w ciszy przestrzeni kosmicznej, unosi się wielościenne satelita, który może fotografować miasta, porty i wyspy meksykańskiej części Pacyfiku, a także dyskretne ruchy w morzu, takie jak pochód płetw i kolumny pary, to jest przemarsz delfinów, czyli znak obecności podmorskiej gromady tuńczyków.

Na pełnym morzu, na wysokości Mazatlán, po prawej stronie liczącego 360 stopni widnokręgu wschodziło czerwone słońce, a po lewej okrągły biały księżyc zanurzał się w nocy. Wtedy je zobaczyłam – pierwsze wychylające się płetwy.

Wypadłam swobodnie z motorówki, zanurzyłam się i podpłynęłam do gromady tuńczyków, które natychmiast się zaniepokoiły.

Jeden uderzył mnie bokiem, drugi przywitał kolejnym szturchaniem, a trzeci niespiesznie pacnął ogonem, odrzucając mnie na kilka metrów w tył, na sam koniec gromady.

Pozwoliłam się wyprzedzić wszystkim tuńczykom i wraz z cieniem ostatnich delfinów włączyłam silnik cylindrowy umieszczony na plecach obok butli z tlenem, by za nimi popłynąć.

Choć mnie nie dotykały, czuły moją obecność w odległości pół metra. W czasie trwającej godzinę podróży nie zrobiłam nic, co mogłoby mnie od nich odróżnić, nie licząc istnienia pod inną postacią, co, mam nadzieję, nie obraziło ich ani nie zestresowało.

Płynąc po moich bokach, zapomniały o mnie i wysunęły się na przód, by zająć właściwe sobie środkowe miejsce w gromadzie.

Spojrzałam na swój zegarek na bransoletce.

Jeśli kapitanowie obydwu statków przebywających na pełnym morzu śledzili uważnie zdjęcia z satelity, dokładnie w tym momencie powinni opuszczać na wodę motorówki, które popłyną w różnych kierunkach, by rozciągnąć sieć o średnicy pół kilometra, ale tym razem nie z żółtymi pływakami, lecz z niebieskimi, w kolorze morza.

Gdy sieć zostanie zanurzona, wyłączą wszystkie silniki i zaczną się najbardziej męcząca część połowu – oczekiwanie.

Mogłam sobie wyobrazić marynarzy opartych o burtę na pokładzie – może któryś zapalałby papierosa – przygotowanych na najwolniejszy połów tuńczyka, w jakim kiedykolwiek przyszło im brać udział. Pomyśl powolnej siostrzenicy właścicielki Tuńczyków Pocięcha.

Wpłynęliśmy do sieci, delfiny, tuńczyki i ja. Widziałam sieć pod mną, a ta zaczęła unosić się ku górze.

Sieć, zaczepiona o 10 krążków linowych na każdym z kutrów, podnosiła się gwałtownymi szarpnięciami. Łodzie motorowe zataczały okrąg ze średnią prędkością, a marynarze wbijali harpuny tylko w te tuńczyki, które uparcie próbowały uciec. Tymczasem delfiny, którym nikt nie przeszkadzał i które podczas tego wolnego połowu miały dość czasu na ucieczkę, skakały już ponad siecią.

3 nurków, razem ze mną 4, obejmowało nieliczne zdeorientowane delfiny, żeby wyciągnąć je z sieci. Potworna walka wręcz o to, by pomóc im się wydostać, tym krnąbrnym delfinom.

– Delfiny poza siecią! – wrzasnął przez megafon jeden z kapitanów. Na statku numer 1 część sieci unosiła się, podczas gdy w burcie statku numer 2 otworzyła się śluza. Z zamienionej w zjeżdżalnię sieci srebrne tuńczyki wpadały jeden po drugim do wnętrza kutra, prosto pod pokład, do basenu z morską wodą i wentylacją w postaci otwartych świetlików.

Tuńczyki zanurzały się w basenie, szukały drogi ucieczki, zderzały się ze ścianami kutra, a my na pokładzie czuliśmy, jak ich natarcia stają się coraz rzadsze i łagodniejsze.

Aż w końcu ustają.

Przeżyły coś nieoczekiwanego, ale szybkiego, a rozlanej krwi było niewiele.

Na morzu została tylko jedna plama różowej piany, średnicy w przybliżeniu 400 metrów.

Pół godziny później różowa plama już się rozpuściła.

– Okej.



Tak właśnie powiedziałam przez radio do Peñi i do mojej ciotki, którzy czekali na wieści na wieczyce przy molo w przetwórnici.

Bardzo lubię to określenie: okej. Pochodzi ono z czasów wojny secesyjnej, z XIX wieku. Generalowie pisali je w swoich raportach z frontu, jeśli danego dnia nikt nie zginął.

*Zero killed* = *O killed* = OK = okej.

– Okej – odpowiedziała ciotka i przerwała połączenie.

Na zewnątrz radiostacji, na pokładzie kutra, facet z Greenpeace wypłatał się z kaptura skafandra do nurkowania. Miał włosy w kolorze kawy ze złotymi końcówkami, tak jak Ricardo.

Powiedział:

– To najbardziej wolny od stresu połów tuńczyka na planecie Ziemia, gratulacje.

Sprostowałam:

– Jeśli nie liczyć połowów w Palermo, w czasie których wciąż wykorzystywane są metody preindustrialne.

– Nawet bardziej pokojowy niż tamte – uśmiechnął się.

Dodał:

– I w 100% bezpieczny dla delfinów.

Przy molo numer 4 zanurzyliśmy w morzu przestronną klatkę na tuńczyki. Bo i po co więzić je w ciasnych przestrzeniach?

– Dlatego że to kosztuje mniej – powiedział inżynier Peña, kiedy podałam mu wymiary klatki.

Zdjął okulary i znów je założył.

– Dlatego że to kosztuje mniej – naciskał kilkakrotnie na ciotkę Isabelle. – Po co zużywać tyle metalu, jeśli tuńczyki mogą być w takiej klatce?

Ale ciotka powiedziała:

– Niech pan nie będzie dusigroszem, Peña.

Tuńczyki, w sumie 80, wpłynęły strumieniem do klatki, a nim wpadły na kraty, zrzuciliśmy im z góry ładunek sardynki. Zaczęły je jeść, zapominając o kratach.

Z koszem krewetek na plecach wpłynęłam do klatki w swoim stroju do nurkowania i masce tuńczyka, żeby sprawdzić, czy wszystkie mają się dobrze. Tuńczyki odwracały się, by na mnie spojrzeć. Otaczały mnie. Ich czarne okragłe oczy o rozszerzonych źrenicach zastygły, wpatrzone we mnie.

Fachowo można nazwać to wzrokiem drapieżcy: gdy duże zwierzę otacza mniejsze zwierzę, którym w tym wypadku byłam ja, drapieżne spojrzenie poprzedza zjedzenie go na obiad.

„Czyżby mnie rozpoznawały? – pytałam sama siebie. – Czy rozumiają, że to ja zaprowadziłam je do tego więzienia?”

Zwróciłam szczególną uwagę na jednego tuńczyka, w którego czarnym oku pulsowała milimetrowa żółta plamka i który nagle wydał mi się groźny. Obróciłam się powoli, rozrzucając garściami krewetki, a tuńczyki, ku mojej uldze, otwarły paszcze, żeby pożreć krewetki.

To, co wydarzyło się później, było szczególnie nieoczekiwane.

Tuńczyk z żółtą plamką w czarnym oku zbliżył do mnie swój pysk i powoli mnie nim trącił, jak gdyby chciał zobaczyć, jak ja zareaguję.

Ja z kolei wysunęłam głowę i szturchnęłam pieprzonego tuńczyka, choć bez użycia siły, tylko po to, żeby wiedział, że ja także potrafię szturchać.

Wówczas zbliżyły się pozostałe tuńczyki i jeden z nich znów odepchnął mnie pyskiem, znowu powoli, a ja ponownie szturchnęłam go głową.

Bawiliśmy się tak przez chwilę, zderzając się głowami, jak dobrzy przyjaciele, nie pamiętając już wcale o połowie, który miał miejsce przed kilkoma dniami.

Zainstalowaliśmy ruchomą taśmę wzdłuż molo numer 4, od jego krańca, przy którym zanurzona była klatka, aż do chodnika obok przetwórnici, gdzie stanęły stopnie dla publiczności.

W jej skład wchodził: 10 naszych kapitanów, nasi czołowi pracownicy, rabin Chelminsky z Maine w Stanach Zjednoczonych i jego

rzecak, którego nazwiska nie pamiętam, nowy minister rybołówstwa i nowy burmistrz Mazatlan.

3 marynarzy wyjęło pierwszego tuńczyka z klatki i uwiązało go do taśmy z kauczuku, a 4. marynarz oślepił go błyskiem neonowej lampy, uruchomili mechanizm i kauczukowa taśma poniosła tuńczyka do mnie, która czekałam na niego w białym stroju pracownicy rozpruwającej tuńczyki i białych kaloszach, z pistoletem na sprężone powietrze w dłoni.

Drugą dłoń położyłam na boku tuńczyka, który pulsował, jak gdyby w środku miał bęben, przycisnęłam go i moja zdecydowana pieszczota uspokoiła go, choć dusząc się, nie przestawał łapać powietrza ani też jego oczy nie przestały się poruszać niespokojnie, bo pewnie duszenie wywoływało u niego halucynacje. Wtedy pośpiesznie przystawiłam pistolet do jego czarnego oka, które nagle wilgotne wpatrzyło się we mnie.

Wystrzeliłam.

Tuńczyk wygiął się w huk, a potem nagle zwiotczał.

2. marynarzy włożyło go do wypelnionego kruszonym lodem podłużnego pojemnika z pomarańczowego plastiku.

Nadjechał kolejny tuńczyk. Poglaskałam go zdecydowanym ruchem, żeby się uspokoił.

Wystrzeliłam.

Włożono go do kolejnej trumny-zamrażarki.

Podczas gdy trzeci tuńczyk zbliżał się na kauczukowej taśmie, podeszli do mnie rabin i rzecak. Mieli na sobie białe kombinezony i różnookie rękawice, obaj z brodami sięgającymi piersi, a rabin dodatkowo w eleganckiej panamie o szerokim rondzie. Rozłożyli plastikową poduszkę i na niej uklekli.

Zgodnie z moimi wskazówkami rzecak uspokoił tuńczyka uciskiem.

Powiedziałam po angielsku:

– Proszę strzelać.

– Chwileczkę – odpowiedział po angielsku rabin.

Rzecak powiedział coś, nie wiem co, po hebrajsku, trzymając dłoń w białej rękawiczce na duszającym się tuńczyku i wznosząc oczy ku

bezhmurnemu tego poranka niebu, całą wieczność, jak się wydawało, mówił i mówił w tym dziwnym języku, a mnie udało się dojrzeć stopnie dla publiczności, gdzie nasi goście spoglądali w ziemię albo w stronę przetwórci, to jest wszędzie, byle tylko nie na miejsce mordu. Ciotka Isabelle, siedząca w dużych ciemnych okularach i kapeczku z białej tkaniny obok swojego partnera Łysola, wpatrywała się w możliwości najbliższe z miejsc, w horyzont srebrzystego morza. W końcu rzecak skończył swoje modły, mówiąc jedno słowo:

– Amen.

I wystrzelił z pistoletu na powietrze w mózg tuńczyka.

Tak samo z pozostałymi 77 tuńczykami. Ja, rabin i rzecak zabijaliśmy, a goście na stopniach patrzyli gdzie indziej, gawędząc między sobą, jak gdyby udawali, że są w innym miejscu i z innych przyczyn.

Trudno było tylko zabić przedostatniego tuńczyka, bo dostrzegłam w jego oku żółtą plamkę i przestraszona wypuściłam go z rąk, dokładnie w chwili, gdy rabin wystrzelił z pistoletu – całe oko tuńczyka zniknęło w dziurze i obryzgał nas strumień krwi, rabina, rzecaka i mnie.

Pod koniec obrzędu rabin Chelminsky stanął przed stopniami dla publiczności z całą twarzą, kapeluszem i brodą we krwi. Krew i pot ciekły na cementowy chodnik, gdy postawiono przed nim mikrofon.

Powiedział do mikrofonu po angielsku:

– Poświadczajcie się, że to są tuńczyki koszerne. Koszerne, czyli właściwe, odpowiednie. Mogą być spożywane przez wszystkich Żydów na świecie.

Nagle uradował się Peña. Wyjął z kieszeni na piersi swój kalkulator. Wreszcie zrozumiał, po jaką cholere ciotka wypłacała rabinowi i rzecakowi wysokie wynagrodzenia.

Facet z Greenpeace poczekał na swoją kolej i zabrał głos przed mikrofonem, mówiąc:

– Greenpeace poświadczaj również, że tuńczyki te są bezpieczne dla delfinów (*dolphin safe*) i wolne od stresu (*stress free*) i mogą być spożywane przez wszystkich ludzi o świadomości ekologicznej.

Peña uderzał wściekle w klawisze kalkulatora, podczas gdy publiczność, mokra od potu i z zawrotami głowy od słońca, wstała



i zaczęła bić brawo. Wówczas minister rybołówstwa, którego nikt nie prosił o zabranie głosu, zszedł ze stropni i podszedł do mikrofonu, a publiczność bardzo niechętnie usiadła z powrotem w słońcu.

Wysoki, szpakowaty, w perłowszarym garniturze i czerwonym krawacie, jak gdyby był w jakimś eleganckim, miejskim salonie, nachylił się do mikrofonu i rzekł:

– Będę się streszczał.

Wtedy wiedzieliśmy już, że czeka nas długie przemówienie, jedno z takich, jakie redagują ministrowie rybołówstwa.

– Żałuję, że nie jestem marynarzem – powiedział – tylko ekonomistą.

Długa pauza.

Ktoś zaklaskał na próbę, ale niestety minister miał więcej do powiedzenia.

– Jednak korzystając z okazji, że jestem tu z państwem, chciałbym oficjalnie oznajmić, że embargo nałożone przez Stany Zjednoczone na nasze meksykańskie tuńczyki zostaje zniesione. Przynajmniej jednostronnie zniesione, przez naszą stronę meksykańską.

Ciotka Isabelle otworzyła swój czerwony parasol, co wszyscy uznaliśmy za koniec przemówienia ministra rybołówstwa i pospieszyliśmy do sześciokątnej szklanej wieży przy molo, gdzie na czterech podawano piwo w zmrożonych kufiach, martini z tamaryndem i tuńczykowe paszteciki w czerwonym sosie.

Ledwo dosłyszałam, jak w kacie inżynier Peña mruczał do jednego z kapitanów naszej floty:

– 3 miliony dolarów, licząc pensje, nowe urządzenia, transport lotniczy trumien-zamrażarek. Pieprzona ekstrawagancja, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Kapitan zdjął marynarską czapkę, włożył ją sobie pod pachę i powiedział:

– Ale znieśliśmy embargo.

– Cóż, do ciężkiej cholery, znaczy zniesienie embargo? Jeśli to nie wypali, idziemy na dno i zamykamy przetwórnictwo.

Kapitan na to:

– Ale szefowa o tym wie?

– Szefowa słucha tylko swojej ościężalej umysłowo siostrzenicy. Powiem ci więcej...

Peña otworzył usta, żeby powiedzieć więcej, ale podszedł do nich minister rybołówstwa i zaczęli rozmawiać o czym innym.

Ciotka zabrała gości specjalnych, z kufkami piwa w rękach, na zwiedzanie przetwórnicy. Weszli do sali, w której patroszono tuńczyki, a ciotka wskazała na sufit, gdzie wisiała moja lampa na muchy: spiralna neonowa żarówka o średnicy i metra u podstawy.

Muchy zbliżały się, zwabione przez niebieskawe światło, ale nie odstraszało ich palące ciepło, jak miałyby to miejsce w przypadku innych lamp. Siadały radośnie na żarówce o niebieskawym świetle, która w jednej chwili porażała je prądem z krótkim zzzzz, i padały martwe prosto na plastikową tackę z zimną wodą, która stała na podłodze.

Minister rybołówstwa i rabin przyglądali się mojemu wynalazkowi w osłupieniu.

– No, rabinie – rzucił minister rybołówstwa – może jakieś święte modły za muchy.

Rabin podniósł do ust kufel z piwem. Z pianą na wąsach powiedział:

– Nie ma takich, panie ministrze, bo ich nie jem. Ale mogę przytoczyć, co wielki mistrz Majmonides napisał na temat zabijania w obronie własnej.

– A niech to – rzekła ciotka.

Rabin odchrząknął, by oczyścić gardło.

– Proszę poczekać – powiedziała ciotka. I kazała uciszyć się pracownikom patroszącym tuńczyki.

Kobiety, w maskach na twarzach i lateksowych rękawiczkach, zamilkły nad rozprutymi w połowie tuńczykami.

Rabin zaintonował swoim ciężkim, melodyjnym głosem coś, co po hebrajsku odnosiło się, jak wszyscy domniemywaliśmy, do zabijania w obronie własnej.

– Skończmy z tym byczym głównem – rzekł Gould.  
(Nadal tłumacząc z angielskiego).

– Lokalizacja Tuńczyków Pocięcha to jakaś pomyłka.

Powiedział to, spacerując po salonie w swoich białych, wygniecionych do granic możliwości bermudach, z rękami w kieszeniach i w czarnych sandałach, a ja przyglądałam się ich gumowym podszwom z przetopionych opon.

– Być może w wieku XIX, kiedy przetwórnia została założona, była to właściwa lokalizacja, ale w wieku XXI to pieprzona pomyłka – upierał się Gould.

Ciotka zapaliła papierosa.

– A produkt, to jest tuńczyk żółtopłetwy, to kolejna pieprzona pomyłka. Produkt zdyskredytowany i bez przyszłości. I wreszcie rynek, wielkie Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, to bez wątpienia największa pieprzona pomyłka. Rynek niechętny zagranicznym produktom spożywczym.

– Ale to, co macie – rzekł z ociąganiem – to, co macie, jest najcenniejsze. Pomyśl. Pomyśl prosty i oryginalny, pomyśl, którego czyste piękno poraża. Patrz mi w oczy, panno Zdolna Inaczej.

Wtrąciła się ciotka:

– Nie robi tego, dopóki nie nabierze zaufania.

– Aha – powiedział Gould.

A jego krzepkie palce u nóg zniknęły z mojego pola widzenia.

– Ten pomysł – usłyszałam, jak mówi – pomysł zabijania ryb bez udziału toksyn, które wydzielają się na skutek okrucieństwa i nadają ich mięsu gorzki smak, i bez mrożenia, które ten smak osłabia, jest wart realizacji.

Ciotka:

– A zatem...?

– A zatem to bardzo proste, należy zmienić ocean, produkt i rynek. Ciotka uniosła brwi.

Gould wyjaśnił:

– Trzeba przenieść flotę na jakąś wyspę na Atlantyku, na przykład afrykańską. Trzeba poławiać inny rodzaj tuńczyka, ten błękitnopłetwy, który żyje znacznie dłużej, do 30 lat, i dlatego osiąga większe rozmiary, no i nie migruje w towarzystwie delfinów, które są ukochanym gatunkiem ekologów. I trzeba go sprzedawać w Japonii, gdzie brzuch tuńczyka błękitnopłetwego uchodzi za kawior oceanów.

– Czy to pewny biznes? – zapytała ciotka.

– Droga pani – rzekł Gould – jedyną pewną rzeczą w życiu jest śmierć. I ukazał w uśmiechu wszystkie swoje zęby.

– Ale straty, jeśli wystąpią, dzielimy po połowie – powiedział Gould – a jeśli będą zyski, również dzielimy je po połowie.

Zwrócił się do ciotki:

– Niech pani zrobi to tak jak ja, moja droga. Dzielę moje interesy na pół. Tę połowę, która okazała się umiarkowanym sukcesem albo ewidentną porażką, wysyłam do ścieku. I trzymam się tylko tej połowy, która okazała się całkowitym sukcesem. Stąd pewnie bierze się 100-procentowy człowiek sukcesu.

Kątem oka zobaczyłam, jak ciotka zaciąga się papierosem i wypuszcza słupek dymu. Ciotka Isabelle nie prowadziła żadnych interesów poza Tuńczykami Pocięcha. Co więcej, z jej spadku, jakim były Tuńczyki Pocięcha, zostało już tylko 5 kutrów z pierwotnych 20. A tu jakiś nieznajomy proponuje jej, żeby postawiła tę resztkę na jedną rozgrywkę.

– O, i to też mnie interesuje – usłyszałam Goulda.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam go pośrodku salonu, przyglądając się lampie na muchy.



– Ale ta tacka... – podniósł nad swoją łysiną prawą rękę, żeby po-  
drapać się w lewe ucho. – Ta tacka – powiedział Gould – powinna  
być przymocowana do lampy, powinna stanowić z nią całość. A jeśli  
chodzi o żarówkę...

– Jeśli chodzi o żarówkę, to co? – zapytałam.

– Nie wiem, coś mi w niej nie pasuje – rzekł. – Po pierwsze, czemu  
jest spiralna?

I taki właśnie był temat naszej pierwszej rozmowy, która miała  
miejsce w jadalni podczas kolacji. Spiralna żarówka z lampy na muchy.

Nad ranem Gould spisał swoim szybkim i pochyłym piśmem  
z dokumenty:

1. Umowę, w której sprzedawałam mu patent na elektryczną  
lampę na muchy.

2. Czek na 100 tysięcy dolarów.

W banku poprosiłam, żeby wymienili mi czek na meksykańskie bank-  
noty o jak najniższych nominalach, które okazały się bardzo ładne,  
niebieskie i po 20 pesos. Wypełnili niebieskimi banknotami czarny  
worek z plastiku, jeden z tych używanych na odpadki. Przeszłam  
z tym czarnym workiem na ramieniu główną ulicą Mazatlán w samo  
południe tak jasne, że zaparkowane samochody wydawały się zniknąć  
momentami we własnym blasku.

Wyrzuciłam zawartość worka na łóżko i góra banknotów w plis-  
kach przykryła je w całości, i wtedy zrozumiałam, że Gould był rów-  
nie rzeczywisty jak te śliczne niebieskie banknoty.

Zwróciłam worek na śmieci do banku i od tej chwili oczywiście  
wierzyłam panu Gouldowi wé wszystkim.

W przeciwieństwie do ciotki Isabelle i Peña.

Peña zjawił się pewnego poranka z 3 ogromnymi książkami pod pachą.

Przy kuchennym stole czytał z ksiąg liczby obrazujące równię po-  
chyłą, na której znajdowały się Tuńczyki Pocięcha, a jego okulary

o szklach jak denka od butelek sprawiały, że wyglądał na równie aury-  
stycznego, jak był w rzeczywistości, gdy palcem wskazującym poka-  
zywał każdą czytana na głos liczbę.

Po pół godzinie ciotka przerwała mu, mówiąc:

– Wystarczy, Peña. Wszystko jasne. Mówiąc krótko, uważa pan, że  
nie powinniśmy robić nic i iść dalej do wszystkich diabłów.

– No cóż, tak, pani Isabelle, ale stopniowo i nie ryzykując wszyst-  
kiego za jednym zamachem – powiedział Peña. – Pozwoli nam to  
spróbować nowych strategii na rynku krajowym. Na przykład, za po-  
zwoleniem, pani Isabelle, pokażę pani plan, który opracowałem we  
współpracy z pewną agencją reklamową.

Położył na stole kilka ulotek i rzekł:

– Możemy rozdawać w całym kraju te ulotki z przepisami, żeby  
ludzie zobaczyli, że można jeść tuńczyka z puszki na wiele sposobów.

Ciotka pociągnęła rękę tylko ze swojej szklanceczki z rumem, a Peña  
rozwinął folder i zaczął na głos czytać:

– Ravioli z tuńczykiem. *Tacos* z tuńczykiem. Zupa tuńczykowa  
z fasolką. Sałatka z tuńczykiem i tartym jabłkiem. Tuńczyk pieczony.

W sumie 33 nowe sposoby na przyrządzenie tuńczyka z puszki,  
z których ostatnim był tuńczyk z ciecierzycą posypyany cukrem pu-  
drem jako deser.

– A teraz największa innowacja – oznajmił Peña, podnosząc pa-  
lec wskazujący. – Odkryliśmy obiecującą właściwość tuńczyka. Do-  
starcza energii, ale nie tuczy. Zrobimy więc w kraju kolejną kampanię,  
także z ulotkami, żeby ludzie, którzy chcą schudnąć, jedli tuńczyka,  
bez makaronu, bez ryżu, samego tuńczyka.

Z niewiadomych przyczyn Peña uśmiechnął się, a ciotka wychy-  
liła szklanceczkę rumu kolejnym tęgim łykiem i napelniła ją znów do  
połowy.

– Co ty na to? – spytała mnie z wilgotnymi oczami.

– Przepraszam – przerwał Peña – nie chcę być niegrzeczny, ale...

– Ale co? – zapytała ciotka.

– Ale kogo obchodzi zdanie kogoś, kto ma inteligencję drugo-  
klasistki.

Nawet Ja zrozumiałam, że chodziło o mnie.

– Sama mi pani pokazywała wyniki testów psychometrycznych tego kogoś – rzekł Peña – i proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, na to właśnie wskazuję.

Ciotka Isabelle poprowadziła Peñę do głównych drzwi, a Grubasce kazala zaprowadzić mnie do biblioteki.

Ja znikłam. Fakt, że poznałam wreszcie wyniki testów psychometrycznych, którym poddała mnie na uniwersytecie doktor Glickman, zmażał mnie z powierzchni planety, więc Grubaska złapała mnie za rękę i szarpając, ciągnęła przez salon i do góry po schodach, a w korytarzu popychała mnie za plecy, aż w końcu posadziła mnie w bibliotece na krześle obok ciotki, u szczytu mahoniowego stołu.

Ciotka włączyła komputer. Stukała przez chwilę w klawiaturę i ekran wypełnił się słowami i liczbami.

– Ogólnie rzecz biorąc, jesteś ociężała umysłowo – powiedziała ciotka.

Poklepała mnie po twarzy.

– Karen! Karen, musisz mnie posłuchać – rzekła.

Powtórzyła:

– Ogólnie rzecz biorąc, jesteś ociężała umysłowo.

Nie odpowiedziałam.

– No to spójrzmy, gdzie są te twoje słabe wyniki.

Zastukała znów w klawiaturę, a liczby i słowa poprzestawiały się i podświetliły na kolorowo, na czerwono i na niebiesko. Ułomności i zdolności mojego Ja przełożone na niezrozumiałe liczby.

– Spójrz, we wszystkich testach robionych na czas faktycznie osiągasz poziom uczennicy drugiej klasy szkoły podstawowej.

– Dlaczego mi to robisz, ciotciu? – zapytałam.

Ciotka zignorowała pytanie.

– Teraz spójrzmy na tę kategorię: we wszystkich testach zakładających przeniesienie twojego subiektywnego punktu widzenia na rynek jesteś na poziomie dziewczynki z przedszkola.

– Nienawidzę cię – wyszlochałam.

– Choć nieprzenoszenie własnego punktu widzenia na inne rzeczy akurat wydaje mi się zaletą, a nie ułomnością. Natomiast, jeśli chodzi o pamięć, plasujesz się w najwyższych 2% populacji świata. Słyszalas, Karen?

– W najwyższych 2%? – zapytałam, wciąż jeszcze otępiata.

– Spójrzmy teraz na myślenie przestrzenne. Wynik jest tak wysoki, że test nie jest w stanie go dokładnie zmierzyć, wskazuje tylko, że plasujesz się wśród 0,1% populacji.

Zaśmiałam się.

– Gdy chodzi o koncentrację, znowu osiągasz astronomiczny wynik.

– Astronomiczny? – zapytałam.

– Na samym wierzchołku – wytłumaczyła ciotka, strukając w klawiaturę komputera.

Powiedziała:

– Przy koncentracji doktor Glickman zanotowała: „Gdy się na czymś skupia, robi coś więcej, niż tylko skupia, zanurza się w tym”.

Szczęśliwa, uderzyłam ręką w stół, rozpoznając w tych słowach siebie, i dalej waliłam w stół, oklaskując się i słuchając dalszych wyników.

– Twoja zdolność organizacji przestrzeni zalicza się do najwyższych 3% w populacji.

Podniosłam ręce wysoko do góry w okrzyku radości.

– Jesteś geniuszem, jeśli chodzi o organizację przestrzeni – powtórzyła ciotka, a Ja ubrałam mój okrzyk w słowa:

– Ja jestem geniuszem!

– I wreszcie twoja wrażliwość na niuanse sytuacji jest taka jak u małpizona.

Ponownie usiadłam, otrzeźwiona.

– Podsumowując – powiedziała ciotka – w 90% kryteriów standardowej inteligencji plasujesz się gdzieś między imbecylnym a idiotyzmem, jednak w 10% jesteś na samym czubku populacji. Zostaniemy zatem przy doktrynie Goulda i oto, co zrobimy. Podejdź, nachyl się i spójrz, co zrobisz.



Nachyliłam się do ekranu komputera. Ciotka przycisnęła jeden klawisz i zostały tylko moje niebieskie wyniki.

– Zapomnijmy o tych czerwonych 90% twoich ułomności i postawimy wszystko na te niebieskie 10% twoich wybitnych zdolności. Jak ci się to podoba?

Zadzwoń do Goulda i powiedz:

– Przyjmujemy propozycję, ale pod jednym warunkiem. Będzie 3 udziałowców, pan, moja siostrzenica i ja, a każdy dostanie równą część zysków.

Gould rzekł:

– Nie ma mowy. Będzie tak: jedna połowa dla mnie, a druga połowa dla pań.

Ciotka zawahała się przed odpowiedzią:

– No dobrze, zatem Karen dostaje 25%, a ja 26%.

– Ach tak – rzekł Gould. – Chodzi o wspólne przejście kontroli?

Ja, która słuchałam przez drugą słuchawkę, powiedziałam:

– Nie, chodzi o to, żeby mieć więcej niż ty.

Gould zaśmiał się i powiedział:

– Uwiełbiam takie bezpośrednie odpowiedzi.

I w ten oto sposób ciotka postawiła losy swoje, moje i 800 pracowników przetwórci na doskonałe 10% mózgu kobiety będącej gdzieś w pół drogi między imbecylem a idiotą, w grze typu wszystko albo nic, która miała zaprowadzić nas na małą wyspę Nogocor w afrykańskiej części Morza Śródziemnego.

Idę po jeszcze jedną szklankę wody.

I rozpoczęła się wzmożona wymiana. Krzykacz na drewnianej skrzyni wykrzyczał ofertę Arsuko Yamury i powtarzał ją, aż pozostali nabywcy również podnieśli dłonie, dając inne znaki palcami, które krzykacz wykrzykiwał, a Yasuko została w tyle z tłumaczeniem, pogubiła się, aż w końcu rzekła:

– Wyjaśnię, jak skończy się licytacja.

W sumie sprzedaliśmy 35 tuńczyków po wysokiej cenie i 15 po dobrej.

Gould zapytał Yasuko:

– No więc jak nam, do licha, poszło?

– Dobrze – powiedziała ona – nieźle.

Wciąż jeszcze był wczesny świt, gdy obeszliśmy cały rozległy targ, handlarze zdejmowali płachty ze swoich straganów, a w przejściach jeździły wózki ze skrzyniami ryb i owoców morza, niektóre z nich były nadal żywe. Największy targ rybny na świecie.

Sąsiadująca z targiem ulica tonęła w oparach, weszliśmy do sklepu, żeby napić się czegoś ciepłego.

Nie było żadnego sprzedawcy, ale za to 15 urzążeń na ścianach, które za 1 jen wydawały: kawę (zimną lub gorącą, z różną zawartością mleka i cukru), herbatę (również zimną albo gorącą i także w różnych kombinacjach), czekoladę (na zimno lub na gorąco), ciasteczka (30 rodzajów), artykuły higieny osobistej (szczotki do włosów i do zębów, maszynki do golenia dla kobiet lub mężczyzn).

– Karen! – zwrócił moją uwagę Gould, uderzając knykiami w laminowany blat stołu, przy którym usiadł z Yasuko. – Tutaj jesteśmy, Karen. Nie przyjechalśmy do Tokio, żebyś zakochiwała się w urzędnikach, przedyskutujmy naszą sytuację.

Wzięłam ze sobą 3 puszki i usiadłam. Jedną z czarną, gorącą kawą, drugą z czekoladą na zimno i trzecią ze szczotką do włosów.

– Dziękuję – powiedziała Yasuko, a ja nie wiedziałam dlaczego.

Do czasu. Nie przestając rozmawiać, Gould i Yasuko wzięli sobie po jednej z moich puszek, a ja niestety zostałam z puszką ze szczotką, ja, która strzygę włosy na zero.



W końcu Yasuko przedstawiła sytuację. To, że sprzedaliśmy cały towar, było dobre, z pewnością nie było złe, jednak kluczową rolę miał odegrać fakt, czy nasi klienci z targu będą w stanie sprzedać tuńczyki w najbardziej szanowanych restauracjach *sushi* i *sashimi* w Tokio, to jest w *sushi ya san*.

Mówiła to tym swoim cienkim głosem, każdą sylabę osobno, przysuwając swój policzek do mojego. Złapałam ją za ramię i odsunęłam na bok.

Z okna mojego pokoju hotelowego na 37. piętrze dzielnica biznesowa Tokio wyglądała jak mrowisko z marmuru w kolorze kawy, z tysiącem małych ubranych na czarno ludzi na chodnikach.

Cały pokój był w odcieniach szarości, od perłowego aż po grafitowy, a wyposażono go w fascynującą ilość urządzeń elektronicznych. Zegar cyfrowy, zegar na baterie, okrągły i ze wskazówkami, odtwarzacz CD z radiem AM, FM. Pilot do oświetlenia oferował 6 stopni natężenia, telewizor – 304 kanały, a łóżko – 7 rodzajów ustawienia.

Włączyłam radio, w telewizji przesakawałam z kanału na kanał, a jednocześnie zmieniałam ustawienia łózka, gdy nagle, myląc przycisk na pilocie, odkryłam, że ekran można podzielić na 2 części i ogłądać równocześnie 2 kanały, 4 kanały, 12 kanałów.

Ale tym, co najbardziej zapadło mi w pamięć, była ubikacja.

Była jak żywe zwierzę. Kiedy podeszłam, deska sedesowa podniosła się sama, co mnie przestraszyło. Zdięłam spodnie, a gdy usiadłam, sedes rozgrzał się, co sprawiło, że zerwałam się na równe nogi przerażona. Usiadłam i poczułam, że jest letni, a po jego prawej stronie odkryłam panel z 9 podpisanymi po japońsku przyciskami.

Ja, która spędziłam dzieciństwo w piwnicy z wylotem wychodzącym na morze, która jadłam garściami piasek, zachwyciłam się przyciskami muszli kłozetowej.

Jeden z przycisków wypuścił strumień wody prosto w mój odbył, co mnie rozśmieszyło, drugi skierował strumień na moją łechtaczkę,

142

co mnie zaniepokoiło, inny przycisk zdawał się nie robić nic, póki nie zobaczyłam unoszących się między moimi nogami i pachnących kwiatowo oparów, a jeszcze inny przycisk wzmacniał wszystkie strumienie.

Przyskakałam różne przyciski, żeby wyłączyć wszystkie te funkcje, ale w efekcie jeszcze bardziej je wzmocniłam i wówczas miały miejsce 2 rzeczy.

1. Poczułam wielką radość w odbycie i w lechtaczce, radość, która pięła się po kregach mojego kręgosłupa i wyginała go w łuk, a ja, przygnieciona tym uczuciem, zamknęłam oczy i zaczęłam niewytrzymałalnie jęczeć i pocić się, aż w końcu moje ciało krzyknęło.

2. Gdy otworzyłam oczy, znajdowałam się pośrodku perfumowanej i dławiącej mgły, strumienie wody uderzały w sufit i lustro, a ja nie potrafiłam znaleźć wyjścia i wtedy muszła zaryczała, a ja upadłam plecami na plastikową zasłonkę. Wyłądowałam w wannie, gdzie straciłam przytomność, nie wiem, czy na skutek uderzenia, czy ze strachu.

Gdy się ocknęłam, łazienkowe szaleństwo wciąż trwało. Podniosłam się z wanny, ociekając wodą, i zdecydowałam się wezwać administrację, a idąc po omacku przez dławiącą mgłę o kwiatowym zapachu, trafiłam w końcu na ramę drzwi, jednak gdy tylko wyszłam, deska desowa sama się opuściła i wszystko nagle ustało.

W moim dzienniku przygoda ta jest opatrzona następującym tytułem: *O tym, jak zgubiłam się w tokijskiej łazience i miałam, jak sądzę, pierwsze doświadczenie seksualne.*

Szanowana restauracja z surową rybą była na 60. piętrze. Kiedy drzwi windy rozsunęły się, Gould kazał mi się odwrócić, bo jechałam w kącie z twarzą przyciśniętą do 2 stalowych ścian, i wyjść.

Ale gdy wyszłam z windy, wystraszyło mnie 10 mężczyzn ubra-

[illegible]

143

Yasuko zaświstała mi swoim głosikiem do ucha:

– To okrzyk wojenny na powitanie.

W tym miejscu powiem coś o Japończykach. To rasa dotknięta w jakimś stopniu autyzmem. Nie podają sobie ręki. Witają się z daleka, pochylając jedni przed drugimi głowy. Są albo sympatyczni i uroczy jak świeżo wyklute kacuszki, albo dzicy jak rektiny. I żyją, poświęcając więcej uwagi rzeczom niż ludziom.

Przeraził mnie przekłety okrzyk powitalny tych mężczyzn, którzy, jak sądziła Yasuko, byli kelnerami.

Gould nachylił się wówczas do starszego Japończyka, który spał w fotelu, przynajmniej oczy miał zamknięte. Ja tymczasem poszłam szukać naszego stolika, bo nie jadłam od chwili naszego przybycia do Tokio o północy i byłam okropnie głodna, ale żadnego stolika nie było widać.

Yasuko wyszeptwała:

– Naśladuj mnie.

Uklękła na podłogę przed podestem o wysokości 30 centymetrów, który okazał się stołem.

Uklękłam obok Yasuko, dokładnie naprzeciwko pana, który albo spał, albo miał zamknięte oczy. Trudno było to orzec, bo napuchnięte ciało pod brwiami zakrywało jego powieki, a worki pod oczami też miał spuchnięte tak, że między oboma zgrubieniami nie było widać ani oczu, ani w ogóle niczego.

Gould zastukał knykiami w stół i rzekł:

– Karen, proszę cię, nie przysłiszmy tutaj patrzeć na twarz tego pana.

Spuściłam wzrok na stół.

Rozmowę, która nastąpiła między Gouldem a śpiącym panem, tłumaczyła Yasuko.

Śpiący pan:

– Ciesz się, że zaprosił mnie pan na pierwsze w Azji danie ze swojego *toro*.

– To dla nas zaszczyt, drogi przyjacielu. Zaszczyt także dla mojej współniczki Karen Nieto. Niech ją pan sam zapyta, cała przyjemność po naszej stronie, prawda, Karen?

Podniosłam oczy, ale śpiący pan na mnie nie spojrzał, tylko wyciągnął rękę po menu leżące na środku stołu.

Przeglądał mu się przez chwilę i rzekł:

– *Magoro*.

Czyli najmniej tłusta część *toro*, jak powiedziała mi na ucho Yasuko, a zatem najtańsza.

– Nie, proszę wziąć to, co najlepsze – nalegał Gould.

– *Chu-toro!* – wykrzyknął śpiący pan.

– *Jotoro!* – zawołał Gould.

– *Jotoro* – powiedziała mi na ucho Yasuko – to najtustsza i najdroższa część.

– *Jotoro* dla wszystkich – powiedział Gould i obracając się w moją stronę, dodał: – Zgadzasz się, Karen?

Pomimo starań Goulda, by włączyć mnie do rozmowy, śpiący pan ani razu nie zwrócił się do żadnej z nas, kobiet.

Podano je na białych talerzach, 2 kęsy czerwonego mięsa tuńczyka błękitnopłetwego, złowionego przed 20 godzinami na drugim końcu świata bez przemocy, agonii i mrożenia.

120 dolarów za 2 kęsy.

Pomyślałam o Ricardo, który przed laty w małej motorówce na środku ogromnego morza opowiadał mi o restauracjach, w których kęsy tuńczyka kosztuje w srebrze tyle, ile waży.

Po jednej stronie talerza z *jotoro* kelnerzy umieścili białe miseczki z białym ryżem, małeńki talerzyk z zieloną górką *wasabi*, startego ostrego korzenia zmieszanego z wodą, i talerzyk z czerwonym sosem. A z drugiej – biały ceramiczny kubek z parującą herbatą w kolorze jasnozielonym.

Jako że nie jem ryb ani mięsa żadnego zwierzęcia, napiłam się herbaty, umierając z głodu.

Przy pierwszym łyku zaczęłam znów wspominać popołudnia spędzane z Ricardo w motorówce na pełnym morzu, choć herbata nie była wcale z liści drzewa cytrynowego.



Nagle otoczyło nas 5 fotografów.

Ich flesze błysnęły w kierunku Goulda i śpiącego pana, gdy obaj wkładali sobie do ust kęs tuńczyka za pomocą japońskich pałeczek.

Przy drugim fleszu na twarzy śpiącego pana rozwarły się 2 szczeliny, z których wyjrzały 2 czarne oczka, a on zawołał radośnie, że bardzo, ale to bardzo mu smakowało *jotora*, z pewnością było to najlepsze *jotora*, jakiego próbował w całym swoim życiu. Fotografowie znów zaczęli błyskać fleszami i wycofywali się powoli, by w końcu, odwróceniem plecami, wyjść przez czerwone drzwi w głębi restauracji.

Pan zamknął ponownie oczy.

Wówczas Gould wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki złożony na pół czek i wsunął go do kieszonki na piersi mężczyzny, mówiąc:

– *Happy origami!*

Śpiący pan przytaknął z twarzą bez wyrazu.

Wypiliśmy w czysty zieloną herbatę, a mężczyzna wstał, uklonił się Gouldowi, ignorując Yasuko i mnie, i ruszył w kierunku windy, która czekała na niego orwarta, a następnego dnia zobaczyłam go ponownie w jadalni hotelu – tym razem na pierwszej stronie gazety, podtrzymującego pałeczkami kęs naszego *jotora* w odległości 2 centymetrów od ust.

Była to gazeta japońska i Yasuko przetłumaczyła mi podpis pod zdjęciem:

*Minister rolnictwa i rybołówstwa spotkał się z ważnym szkodliwym przedsiębiorcą Earnestem Gouldem w celu omówienia planów budowy fabryki artykułów gospodarstwa domowego w Kioto.*

– Nie rozumiem – powiedziałam. – To nie jesteśmy tu po to, żeby sprzedawać tuńczyki?

Yasuko wyszeptała:

– To z fabryką to kłamstwo. Liczy się to, iż artykuł wspomina, że spotkali się w szanowanej restauracji, a minister zawołał, że to najlepsze *jotora*, jakie jadł w swoim całym, długim życiu.

– Świetnie – powiedziałam ja, nie do końca rozumiejąc.

– Znakomicie – uśmiechnęła się Yasuko.

I tak każdego ranka Yasuko witała mnie w jadalni hotelu z kolejną wiadomością prasową, w której nasze *jotora* pojawiało się na zdjęciu pomiędzy 2 japończykami i w tekście informacji.

– Zapisujemy się w świadomości społecznej – oznajmiła.

I spędziła pół godziny na wyjaśnianiu mi, co miała przez to na myśli.

Po miesiącu na okładce nie dającego się rozszyfrować czasopisma pojawiły się 2 czarnowłose osoby, siedzące naprzeciwko siebie we łzach nad 2 talerzami *sashimi* z tuńczyka błękitnego.

Yasuko rzekła:

– To 2 sławnych aktorów filmowych, ukochanych przez wszystkich Japończyków. Ich burzliwe rozstanie, które miało miejsce, gdy jedli nasze *jotora* w innej szanowanej restauracji, leci na wszystkich kanałach telewizyjnych i jest we wszystkich czasopiśmiech.

– Ale mieliśmy szczęście – powiedziałam.

Yasuko powiedziała:

– Tak, wielkie szczęście. Połowa Japończyków da się zabić, żeby tam pójść.

Dziwna kobieta była z tej Yasuko, przynajmniej dla mnie. Szczupłutka, bardzo blada, jakby w kontraście do swoich czarnych garsonnek, spodni i czarnych skórzanych butów na wysokim, cienkim obcasie. Z tym swoim głosikiem zdolnym ogłosić z niezwykłą słodyczą równie potworną wiadomość jak ta:

Połowa Japończyków da się zabić, żeby tam pójść.

– Naprawdę? – zapytałam.

Yasuko westchnęła. Ze smutną miną powiedziała:

– Nie denerwuj się, Karen, to nieprawda, to tylko ja bym chciała, żeby tak było.

Nie wiem, dlaczego Yasuko nienawidziła Japończyków, skoro sama była Japonką. Wydaje mi się, że kiedyś mi o tym mówiła, ale akurat w tym momencie wyłączyłam się z mowy ludzkiej i tylko widziałam, że płacze, wylewając mnóstwo łez z nieznanymi mi powodów.

Tymczasem dla mnie – chyba już to pisałam – Japończycy to najsympatyczniejsi ludzie na całej ziemi, z powodów, o których już wspominałam i do których dodam teraz inne, jakie stopniowo odkrywałam podczas roku, który spędziłyśmy w Tokio.

Nie podają sobie ręki. Trzymają się zawsze ponad 50 centymetrów od drugiej osoby. Nie patrzą w oczy. Nie zapraszają do domu na kolację i nigdy nie pytają o życie osobiste. Są w 99% wypadków niżsi niż ja. Owszem, dużo mówią, jak wszyscy ludzie, i to w bolesny dla uszu, piskliwy sposób, ale na szczęście po japońsku, którego to języka nie rozumiem, więc mogłam przebywać między nimi na ulicach, w sklepach i w metrze, zupełnie jakbym spacerowała po lesie przysadzistych i przemieszczających się krzewów, pełnych ćwierkających ptaszków.

Jeszcze jedno podoba mi się w Japończykach. Obchodzą święta shintoistyczne, bo są w większości shintoistami, ale obchodzą też święta buddyjskie, bo to, że są shintoistami, nie przeszkadza im w byciu buddystami, a ponadto obchodzą chrześcijańskie Boże Narodzenie, bo po prostu bardzo lubią świętować.

Prawdę mówiąc, nigdy nie słyszałam *Jingle Bells* tyle razy co w czasie Bożego Narodzenia w 2002 roku w Tokio.

24 grudnia, gdy Japończycy w swoich domach bawili się w chrześcijan i świętowali narodziny jakiegoś boga, którego nie czcili przez pozostałą część roku, Gould wezwał nas do apartamentu, który zajmował na ostatnim, 70. piętrze hotelu.

W pomieszczeniu z jasnoszarymi fotelami powiedział najpierw, że jest to dla niego najwyższy czas, by opuścić Tokio. I wyjaśnił nam to kolejno, Yasuko i mnie.

Yasuko:

– Popyt na naszego tuńczyka przewyższa nasze tygodniowe dostawy, zatem cena może już tylko rosnąć. Nie mam tu nic więcej do robory.

Mnie:

– Nie chcemy łowić więcej tuńczyka i obniżyć jego ceny, nieprawdaż?

Potwierdziłam:

– Piękno mojego pomysłu tkwi w tym, żeby humanitarny mord tuńczyka przyczynił się do zachowania gatunku.

– Otóż to – przytaknął Gould. – Podniosę twoje stanowisko, Karen. Zajmiesz ten apartament na 70. piętrze, razem z Yasuko. Zgoda? Yasuko złączyła dłonie na wysokości ust, podekscytowana.

– I wreszcie – rzekł Gould – mam dla ciebie prezent, Karen.

Wstałyśmy z miejsc i podeszłyśmy za Gouldem do ściany.

– Oto on – powiedział Gould.

Czarny obraz o wymiarach 4 na 4 metry, ze złotą, okrągłą kropłą pośrodku.

– To Yoshida. Najważniejszy dwudziestowieczny malarz japoński. Ja, Gould i Yasuko staliśmy przez chwilę w ciszy przed obrazem.

– Nazywa się *Siła witalna* – podjął Gould. – Co ciekawe, tak samo nazywa się każdy z obrazów, jakie w swoim życiu namalował Yoshida: *Siła witalna*.

– A tego obrazu dlaczego nie namalował? – spytałam Ja, bo choćbym nie wiem ile się wpatrywała, widziałam tylko złotą kropkę na czarnym kwadracie.

Gould zapalił cygaro i długo nad tym myślał.

– Nie wiem, ale kosztuje 500 tysięcy dolarów i chciałem w ten sposób wyrazić zaufanie, jakie mam do ciebie jako współniczki.

Gould nalał z szklanki whisky, dla siebie i dla Yasuko, i szklankę mleka dla mnie.

Staliśmy wszyscy 3, gdy Gould wyciągnął w moją stronę swoją whisky i powiedział z całą powagą:

– Moja droga Karen, kocham cię jak córkę, której nigdy nie miałem.

Oto jedno z tych niemożliwych zdań, które mogą zrodzić się tylko w ludzkiej wyobraźni: Gould kochał mnie jak swoją nieistniejącą córkę. Wreszcie, gdy już wszyscy 3 zajęliśmy miejsca w wygodnych perłowych fotelach, Gould wypił łyk i dodał:

– Ponieważ nie poruszył cię olej na płótnie Yoshidy, każe go zdjąć, a ty proś mnie, o co chcesz. *The sky is the limit*.



Powiedziałam:

– Nagrodę Nobla.

Gould wybuchnął śmiechem, a Yasuko zaśmiała się cichutko, spuszczając wzrok.

– Pierwszy żart, jaki od ciebie słyszę – rzekł Gould, z iskierkami w niebieskich oczach. – Jak tak dalej pójdzie, przestaniesz być autystyczna.

– Nieprawda – powiedziałam zdenerwowana.

– W porządku – zaśmiał się znów Gould. – Nigdy nie będziesz taka jak my i całe *szczęście*, panno Zdolna Inaczej.

On i Yasuko zaczęli rozmawiać na inne tematy, a ja przeszłam w tryb braku kontaktu i zajęłam się istnieniem, siedząc w wygodnym fotelu, pijąc małymi łyżkami mleko i patrząc na śnieg padający za oknem.

Poprawka: za oknami.

W apartamencie było 15 okien i obracając powoli głowę, mogłam patrzeć przez każde z nich na takie same białe płatki spadające nieprzerwanie między nieruchomymi gwiazdami.

Było to dziwne, ale w chwili, gdy o 5 rano Gould, ubrany w niebieskie dżinsy i ogromny czarny płaszcz, wyszedł przez drzwi, zaczęłam się niepokoić.

Padalo.

Zadzwońłam do ciotki, ale odebrał jej zapotrzebowany naręczony i zastany powiedział, że w Oaxaca, na drugiej półkuli ziemskiej, noc dopiero się zaczęła.

– Isabelle śpi – powiedział, jak gdyby coś go bolało – a ja nie mogę spać, bo nie mogę przestać na nią patrzeć. To najpiękniejsza kobieta, jaką podarowało mi życie.

– Okej – powiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

Skorzystałam z czasu wolnego, żeby w łazience ogolić głowę.

Przed lustrem nad umywalką i za pomocą elektrycznej maszynki do strzyżenia wyrównałam na czaszce 4 centymetry swoich

brązowych włosów. Założyłam ostrze brzytwy do mojej stalowej gołębki i zgoliłam kark. Potem, siedząc na brzegu wanny, ogoliłam pachy i nogi. Wstałam i wymazałam trójkąt włosów łonowych.

Tymczasem w pokoju Yasuko zdażyła już podłączyć i uruchomić 6 komputerów przenośnych, a na ekranie każdego z nich widniał różnokolorowy wykres słupkowy.

Zapytała:

– Chcesz wiedzieć, co to jest?

Powiedziałam:

– Niekoniecznie.

I poszłam do sypialni, żeby położyć się nago w łóżku i spróbować zasnąć.

Nie umiałam.

Wyjęłam z walizki moją przenośną uprząż, której nie miałam potrzeby używać w czasie całego pobytu w Japonii. Stojąc na łóżku, wkręcałam śruby w sufit i ubrana w strój do nurkowania zawiesiłam się w uprzęży.

Yasuko patrzyła na mnie przez drzwi, a ja, wisząc w uprzęży i unosząc się w powietrzu w ciasnym, ciepłym uścisku stroju do nurkowania, patrzyłam 70 pięter w dół, jak miasto Tokio pod deszczowym i nocnym jeszcze niebem mobilizuje się do kolejnego dnia pracy.

W świetle cząstki księżycy widziałam jego ciemne drapacze chmur z marmuru i szkła, jego obwodnice o 2 lub 3 poziomach, pełne malerkich samochodów z 2 punkcikami światła na przedzie, zielone plamy jego parków, wejścia do metra, z których wylaniały się setki milimetrowych ludzi, by przylączyć się do tysięcy tych, którzy już szli chodnikami i wchodzili do budynków, w których, okienko po okienku, zapalały się światła.

– Aha – mówi znowu. – No tak – drapie się w czubek głowy. – Proszę wybaczyć moją ignorancję.

Potem zadaje ciekawe pytanie:

– A istnieją mrówki policyjne? To znaczy takie, które pilnują, żeby pozostałe wykonywały swoją pracę i nie wychylały się z szeregu mrówek. Na pewno pilnują przynajmniej tego, żeby inne nie wychylały się z szeregu. W przeciwnym razie w mrowiskach nie panowałby tak znakomity porządek.

– Nie – mówi. – Nie ma mrówek policyjnych.

Policjant z Interpolu wydaje się bardzo zmartwiony brakiem mrówek policyjnych.

Następnie mówi, marszcząc brwi:

– Faktycznie tak ma się sprawa z tymi anarchistami. Nie mają centralnej władzy ani hierarchii i rzeczywiście działają na zasadzie naśladownictwa. Na przykład w roku 2004 ataki na kurniki były prawdziwą plagą. Jedna z komórek uwolniła kury z przemysłowej fermy drobiu w Kanadzie i rozpowszechniła tę wiadomość w internecie, inspirowując do tego samego inne komórki w Danii, Belgii, Szwecji, Finlandii i Stanach Zjednoczonych. Te sukinsyny wypuściły miliony kur z dziesiątek ferm, przepadły miliony dolarów, a przemysł jajczarski wpadł w panikę. W końcu gdzieś pod Sankt Petersburgiem kolejna komórka otwierała klatki na jakiejś fermie, gdy interweniowała rosyjska policja, ujęła ich i wysłała na Syberię, gdzie słuch po wyzwolicielach kur zaginął. Zapadli się pod śnieg. I skończyło się wyzwalanie kur. To znaczy aż do dzisiaj.

Kelner stawia na stoliku między nami 2 szklanki soku pomarańczowego.

– Tyle że to nie pozwala nam także ich zniszczyć – mówi detektyw, znowu zmartwiony. – To, że są jak mrowisko, bez scentralizowanej władzy. W innych organizacjach zdejmuje się przywódcę, a organizacja się rozpada. Wykrada się dane o jej członkach i ma się jej schemat organizacyjny. A ci nie mają ani szefa, ani danych, nie ma sensu ich infiltrować, bo żaden z członków nie zna nikogo spoza swojej komórki.

Podnosi szklankę i wypija łyk soku, a Ja myślę sobie, że ARM to organizacja nie tyle tępa, ile bardzo skuteczna. I przechodzę w tryb braku kontaktu, podczas gdy po mojej lewej detektyw ciągnie swoje bla bla bla.

Aż z tego bla bla bla wyłapuję kilka słów, które mnie budzą:

– Jeśli chodzi o zagrożenie dla pani życia.

– Że co? – pytam przestraszona.

– Proszę o tym zapomnieć. Jedną z nielicznych zasad terrorystów ekologicznych jest nie wyrządzać krzywdy niczemu, co żyje. Niszczenie mienia – być może. Groźby – oczywiście, zastraszanie to przecież podstawa ich działalności. Ale nigdy nikogo nie zabili. To byłaby sprzeczność, skoro są ramieniem aktywnego współczucia, jak sami się obwołują.

– Mimo iż powiedzieli, że mnie zabiją? – pytam.

Detektyw wypija ostatni łyk soku i stawia szklankę na dzielącym nas stoliku.

– Otóż to, mimo iż tak powiedzieli. Według naszych statystyk zazwyczaj grożą tylko raz. Odnajdują kogoś, kogo nienawidzą, grożą mu, nawet śmiercią, cieszą się, że mogą to opublikować na swojej stronie internetowej, i na tym koniec. Powiem tak: jeśli w ciągu 6 miesięcy nie odezwą się do pani po raz kolejny, oznacza to, że jest już pani tylko anegdotką na ich ekologicznych imprezach.

Mówię:

– A co z zabójstwem japońskiego ministra rolnictwa i rybołówstwa?

– Co ma pani na myśli?

Mówię mu pokrótce, co mam na myśli.

Ponieważ nie do końca rozumie, o co mi chodzi, wyjmuję notes i rysuję drzwi, wisiela w piżamie powieszonego na psiej smyczy przybitego do górnego rogu drzwi, z językiem i penisem na wierzchu, a jednocześnie wyjaśniam, dlaczego niemożliwe jest, żeby minister powiesił się w ten właśnie sposób.

Detektyw dłuższą chwilę przypatruje się mojemu rysunkowi.

– Wygląda jak zdjęcie – mówi, nie przestając mu się przyglądać.

Precyzuję:

– Prawie jak zdjęcie.



- Są nawet paski na piżamie ministra – mówi on.
- Bo była w paski. Biała w pionowe niebieskie paski.
- Mogę to zabrać? – pyta.

Mówię, że tak, a detektyw podnosi na kolana swoją torbę, otwiera ją, wyjmując kawową papierową kopertę na listy i chowa do niej mój rysunek, a kopertę do torby.

Naciskam:

– Miesiąc po tym samobójstwie na stronie ARM pojawiła się ta informacja, w której nazwano to zabójstwem i przypisano jednej z komórek w Japonii.

– No tak – mówi on. – Tak właśnie robią. Przypisują sobie najróżniejsze akcje. Czy wie pani, że przypisali sobie tsunami na Sumatrze?

Niepokoję się:

– Naprawdę?

– W rzeczy samej. Gigantyczne fale zrównały z ziemią miejscowości na wyspie, zabiły dziesiątki tysięcy ludzi, innych pozostawiły w nędzy, a ci nieudacznicy rozpowszechnili wy tłumaczenie, że to Matka Natura mści się za zabijanie wielorybów, a oni, rzecz jasna, mają się za najbliższych krewnych Matki Natury.

Zaczynam rozmyślać o tym łańcuchu przyczyn i skutków oraz o tezie pokrewieństwa, której nie można tak od razu wykluczyć, ale detektyw podejmuje na nowo:

– A zatem powiedzmy, że mam na uwadze tę pani hipotezę co do japońskiego ministra, ale powtarzam pani, że według naszych raportów ani ALF, ani ARM nigdy nikogo nie zabiły. Nie licząc retorycznych ataków wściekłości, aktywiści ekologiczni kładą nacisk na swoje umiłowanie życia.

Patrzy mi w oczy, a Ja kieruję wzrok w inną stronę.

– Nie chciałem pani urazić. Proszę mi wybaczyć, jeżeli panią uraziłem. Obiecuję, że puszcze w obieg w agencji pani hipotezę.

Ciągnie:

– Jeśli chodzi o pani mienie, to owszem, mogą próbować je niszczyć i mam polecenie od pani współnika, pana Goulda, by nie szczędzić pieniędzy na jego ochronę. Wzmocnimy ochronę przeciwpożarową

w przetwórniciach, zamontujemy alarmy i strzeżone bramki z wykrywaczami metali przy wejściach, a także kamery rejestrujące każdy ruch. Co przyczyni się nie tylko do wzrostu bezpieczeństwa, ale także pomoże w kontroli pracowników.

Robi coś przedziwnego: patrzy na mnie i zamyka jedno oko, a Ja patrzę na czubek jednego z moich butów.

– Jeśli zaś chodzi o pani bezpieczeństwo – słyszę, że mówi dalej – osobiście porozmawiam z administracją hoteli, w których najczęściej się pani zatrzymuje, na temat środków ostrożności.

– Na przykład jakich? – pytam.

– Po pierwsze przekażę im skanery do listów, jeśli jeszcze takich nie posiadają. W przeszłości, w latach 90. ubiegłego wieku, ARM wysłała listy z bombami do kilku naukowców i angielskiej premier. Żaden nie miał poważniejszych konsekwencji dla adresatów niż poparzenie twarzy i rąk czy wielu wzmianek w prasie, a to jest to, co cenią najbardziej: rozgłos.

Wyjmuje z kieszonki na piersi chusteczkę z białego jedwabiu i wyciera pot z czoła.

– Ale upał w tym Caeiro – mówi. – Dobry na wakacje, niedobry w pracy. Na uniwersytecie miała pani zajęcia z doktorem Charlesem Huntingtonem, czyż nie?

Prostuję plecy w wiklinowym fotelu:

– Tak. Czy ma coś wspólnego z ARM?

– Za dużo jak dla swojego dobra. W 2003 roku w stanie Nowy Jork ARM wysadziła jego samochód i zaproponowała mu rozejm w zamian za zaprzestanie budowy ubojni. Zignorował to i spalili mu dom, ale wtedy, kiedy nie było go w domu, bo miał zajęcia na pobliskim uniwersytecie, więc nie doznał żadnych poparzeń. Następnie ekshumowali zwłoki jego matki i zostawili je w łóżku w pokoju motelu, do którego się przeprowadził. Wówczas, cóż, pomieszało się Huntingtonowi w głowie. Odkąd znalazł martwą matkę w swoim łóżku, miewał ataki paniki. Przeszedł na emeryturę, miał już w końcu 82 lata, i zamieszkał w szpitalu psychiatrycznym. Najciekawsze jest to, kto wchodził w skład komórki, która zastraszeniem doprowadziła go do szaleństwa.

– Kto?  
– Proszę zgadnąć. Zna pani te osoby.  
– Jego byli uczniowie?  
– Nie. Proszę spróbować jeszcze raz.  
– Nie mam pojęcia.  
– W skład komórki wchodziła tylko 1 osoba. Jego 30-letni asystent, niejaki Gabriel Short.  
– Nie wiem, co powiedzieć – mówię.  
– Rzeczywiście, można się zdziwić, nieprawdaz?  
– Short mógłby być zamieszany w moje porwanie?  
– Wykluczone. Biedaczysko siedzi w więzieniu i nie wyjdzie stamtąd przez najbliższe 19 lat.  
Zakłada nogę na nogę, a jego czarne buty z delikatnej, miękkiej skóry wyglądają jak buty do baletu.  
W ten oto sposób spędzam poranek, dowiadując się z monologu detektywa Iñakiego Belloso o wyczynach i porażkach ARM.

Na koniec daje mi kilka zaleceń.

– Proszę nas natychmiast powiadomić o jakimkolwiek kontakcie, jaki z panią nawiązą, o ile w ogóle się z panią skontaktują. Mówi pani, że używa tylko telefonu komórkowego, a nie żadnego innego, proszę zatem zapisać numer, który wyświetli się na pani komórce. Jeśli jednak otrzyma pani list bez nadawcy albo od nieznanego nadawcy, proszę go nie otwierać. I proszę natychmiast do mnie zadzwonić. Na koniec jeszcze jedna uwaga co do bagaży, jeśli będzie pani w podróży.

– Podróżuję bez bagażu – mówię. – Zabieram ze sobą tylko torbę z džinsami i koszulką na zmianę i mój komputer.

– Aha – mówi.

I nagle pyta wesoło:

– Podpisze pani dla mnie swój rysunek?

Kładzie na stoliku między nami rysunek ministra powieszonego w pizamie, który Ja w rogu podpisuję.

– Zawsze będą jacyś nieprzystosowani – zapewnia mnie już na stojąco elegancki detektyw. – Kłóliwe nieroby. Upośledzeni umysłowo.

Uśmiecha się do mnie, a Ja patrzę na swoje buty i już zamierzam wyjaśnić mu, że choć w pewnych kwestiach może i jestem upośledzona, ale za to w innych mam nadzwyczajne zdolności, jednak wówczas on zadaje mi 2 najbardziej zaskakujące pytania tego poranka:

– Zna pani ten mały bar w Caeiro, Alberto de la Punta Azul? Jest tam taki taras z widokiem na morze i można wypić lampkę szampana, gawędząc sobie w świetle księżyca.

Odpowiadam:

– Nie znam, bo nie piję.

– Aha – mówi on. – Rozumiem. A lubi pani kino?

– Wcale – odpowiadam.

Zapada cisza, a w górze na niebie przelatuje czarna jaskółka.

Iñaki Belloso mówi:

– To była wielka przyjemność móc rozmawiać z tak wspaniałą damą.

Kłania się i odchodzi w swoich butach miękkich jak kaptcie.



– Niech pani sobie zapali, szefowo – mówi z urugwajskim akcentem. – W końcu te zapłodnione jajeczka to jakby pani dzieci.

– Niezupelnie – prostuję. – Tylko jeśli wyklują się z nich larwy, które później urosną i staną się tuńczykami. Co jeszcze nigdy nie udało się w niewoli.

Optymizm kapitanów nic sobie jednak nie robi z tych argumentów. Śmieją się, ale Ja nie. Poważna biorę do ręki cygaro, wkładam je między wargi, podaję mi zapalniczkę, zaciągam się i krztuszę się dymem.

– Szefowa jest jak Czarnoksiężnik z krainy Oz – śmieje się jeden z kapitanów.

Wszyscy przytakują, wypuszczając dym.

– Szefowa jest jak Flecista znad Atlantyku.

Nie rozumiem, o czym mówią, zostawiam ich tam pijących i palących i kładę się spać.

Nad ranem budzi mnie telefon od Goulda.

– Karen, dostałem nagranie. To pierwsze nagranie tarła tuńczyków w historii. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Zdaję sobie z tego sprawę – mówię z głową pod prześcieradłem.

– Karen, kochana, posłuchaj mnie uważnie. To jest równie przełomowe jak pierwszy krok człowieka na Księżycu.

– Nieprawda – mówię do telefonu. – Będzie dopiero wtedy, jeśli z tych zapłodnionych jaj urodzą się tuńczyki.

– Jeśli w niewoli urodzą się tuńczyki – wyjaśniam w południe ciotce Isabelle, spacerując po moło, które wchodzi w morze pełne słonecznych iskierek – będzie to początkiem nowych stosunków między tuńczykami a ludźmi.

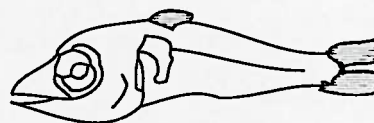
– Musisz o tym napisać – mówi ona w nocy, która trwa w Oaxaca. – Poczekaaj, zadzwonię tylko do znajomej, która pisze dla magazynu „Nature”.

Tego popołudnia wszystko dzieje się raz jeszcze. Gromada tuńczyków krąży rytualnie wokół czerwonej wyspy. Grupy złożone z 3 lub 5 samców i 1 samicy odłączają się, by zataczać swoje 00, a potem składać jaja i wytryskiwać nasienie.

Grupa obserwatorów z gromady ludzi – plus jedna hybryda, czyli Ja – filmuje wszystko spoza granic raju.

I tak przez 14 popołudni, w morzu w Caciro.

Aż któregoś popołudnia kamera wyłapuje pierwszą larwę tuńczyka unoszącą się samotnie w wodzie: jest niebieska i półprzezroczysta, jak miniaturowy tuńczyk, ma wszystko na swoim miejscu i następujący rozmiar:



Kiedy wraz z kapitanami przeglądam nagranie, na którym widać 54 larwy tuńczyka, cisza jest tak wyraźna, że słychać brzęczenie projektora.

Po zapaleniu światła odkorkowują znowu butelki cydru, a ktoś znów częstuje cygarami. Wówczas urugwajski kapitan prosi mnie, byśmy przeszli do położonej tuż obok jadalni, bo mają dla mnie niespodziankę.

Całą ścianę jadalni zajmowało ogromne zdjęcie larwy tuńczyka.

Myszę przez 30 sekund i w końcu zgaduję.

– Powiększyliście zdjęcie z nagrania – mówię.

Urugwajczyk zdejmuje kapitańską czapkę, wkłada ją pod pachę i unosi swoją szklankę z cydrem.

– Za pierworodne dziecko pani Karen! – woła.

Wpadam we wściekłość:

– SZKLANKI W DÓŁ! – rozkazuję.

Jak to już często bywało, ludzka skłonność do metafor wydaje mi się nadzwyczaj niebezpieczna i próbuję zrozumieć, o co im chodzi. Pytam:

– Wiecie, co by się stało, gdyby do prasy przeciekła informacja, że urodziłam tuńczyka? Podważyłoby to teorię Darwina i całe doświadczenie gatunku ludzkiego. Więc zakazuję wam powtarzać, że jestem matką tej larwy. Albo jej Czarnoksiężnikiem z krainy Oz, albo Fleci-  
stą, albo każdą inną gównianą metaforą.

Miesiąc później 103 larwy tuńczyka rozwijają się w zrównoważonym tempie. Co 3 dni są 2 razy większe. Dorosłe tuńczyki zaprzestały rytualnych zachowań, a w zamian za to popadły w rozdrażnienie. Uderzają się ogonami, głowami.

Na ziemi również wiele zmian.

Codziennie odwiedza nas prasa, przeprowadza wywiady z kapitanami i zabiera zdjęcia larw przez nich подарowane. Wiadomość szerzy się w internecie na stronach poświęconych pszczelarstwu i zootechnice. Kanał telewizyjny National Geographic pokazuje kilka ujęć larw stających się rybami, a japońska telewizja emituje reportaże, w którym w końcu ma miejsce ta katastrofa, której tak bardzo się obawiałam.

Jak tłumaczy mi Yasuko przez telefon komórkowy, kiedy obie oglądamy nagranie na komputerze, reportaż stwierdza, że Karen Nieto jest matką setek tuńczyków, które każdego popołudnia karmi z łodzi, podając im kolejno mleko w butelce dla niemowląt.

– No to nie dziwi już to pieprzone zdjęcie – mówię.

Na zdjęciu w oddali widać łódź, a z jej dziobu wychyla się krótko ostrzyżona kobieta z butelką dla niemowląt, z której pije młody tuńczyk, ledwo wystający z wody.

Yasuko mówi:

– Ładnie wyszłaś. Muskularnie, szczupło.

– Jak Ja mam ci to powiedzieć?! – podnoszę głos. – To pieprzony fotomontaż. Pieprzona metafora, która stała się kolejnym pieprzonym kłamstwem. Właśnie dlatego nie pozwałam, żeby metafory weszły do mojego systemu językowego. Metafory nie pasują do informacji o rzeczywistości. Więc czemu, u licha, nie potraficie bez nich żyć?

Słyszę głos Yasuko w komórce:

– Tak już jest. Zwyczajna rzeczywistość nie wystarcza.

– O czym ty mówisz? Nie wystarcza do czego?

– Bo ja wiem, Karen. Do tego, by czuć się bezpiecznie, jak sędzę. Zwyczajna rzeczywistość wywołuje strach.

– Bo rzeczywistość wywołuje strach – mówię Ja. – Gorzej! Rzeczywistość powoduje głód. Przerazenie. Może wywołać chorobę. I z pewnością w końcu cię zabije. Ale tylko rzeczywistość jest prawdziwa, cała reszta to metafory w twojej pieprzonej głowie!

– Zno-wu-na-mnie-krzy-czysz – mówi tym swoim głosikiem Yasuko, wymawiając oddzielnie każdą sylabę. – Rozłączam się.

Ciskam telefonem w ścianę, spada na podłogę roztrzaskany.

Innego popołudnia dzieje się coś, co przeważa szalę mojej wściekłości – w pobliżu raj ujmujemy szpiega, nurka uzbrojonego w podwodny aparat fotograficzny.

Przyprowadzają mi go na taras hotelu tak jak stał, w założonej masce, z zielonymi płetwami przewieszonymi przez jedno ramię i z ciężkim aparatem na drugim, facet nie chce zdjąć maski ani oddać aparatu.

– Proszę go zdjąć i mi podać – nalegam.

Stojąc między z kapitanami, potrząsa przecząco głową. To krzepki facet mojego wzrostu, czyli mniej więcej 1,85.

Podchodzę, jedną ręką chwytam go za szyję i kciukiem uciskam tętnicę szyjną, a drugą ręką zrywam mu najpierw maskę z głowy, a potem aparat.

Gdy go wypuszczam, krzyczy po angielsku jak miauczący kot, że zobaczymy się w sądzie i inne tym podobne bzdury. Okazuje się, że ma skośne oczy i jest Chińczykiem.

Oglądam aparat. Jest dobry, to Olympus 8080, ale mój, Sony 9556, jest lepszy, więc proszę administrację hotelu o siekierę.

Przynoszą mi coś zbliżonego, to jest kij baseballowy. Kładę olympusa na ziemi i rozwalam go na kawałki. Tymczasem pieprzony szpieg drze się wniebogłosy, a z kapitanów z założonymi rękami czeka.



Tego samego popołudnia spotykam się z kapitanami na molo. Są uśmiechnięci, ubrani w swoje stroje i nieskazitelnie białe czapki.

– No dobrze – mówię Ja, w przeciwieństwie do nich spięta i zderwowana. – Czas się zbierać.

– Pani Karen – domaga się urugwajski kapitan – może się pani z nami przynajmniej przywita, zanim od razu zaczniesz rzucać rozkazy. W końcu spłodziliśmy z panią prawie 110 tuńczyków.

– No dobrze – parskam, usiłując się nie wściec. – Witam panów kapitanów.

Odpowiadają chórem:

– Dzień dobry, mamó Karen.

I wybuchają wszyscy śmiechem.

Czekam, aż się uciszą i znów będzie słychać, jak popołudniowe morze rozbija się o betonowe molo.

– No dobrze – podejmuję wątek. – Teraz, gdy już się rozmnożyły, tuńczyki chcą odpłynąć i robią się niespokojne.

Wszyscy potakują.

– Wy też jesteście niespokojni. I Ja. Nazywa się to sytuacją niepewności.

Znów potakują.

– A zatem – mówię – trzeba wrócić do sytuacji pewności. Przygotować kauczukową taśmę, pistolety na sprężone powietrze, trumny z lodem. Zająć transport lotniczy, zawiadomić odbiorców.

Kapitanowie nie ruszają się, patrzą na mnie z pobladłymi twarzami, z wyjątkiem Urugwajczyka, który obraca w rękach swoją czapkę, aż w końcu pyta:

– Zabijemy je?

Odpowiadam:

– Wszystkie osobniki dorosłe.

– A nowo narodzone?

– Kiedy dorosną – mówię – O ile wiem, żyjemy z zabijania tuńczyków.

Mija chwila, w czasie której czapka w rękach kapitana wciąż się obraca. Potem wszyscy jednocześnie zabieramy się do naszych zabójczych obowiązków.

W kolejnych miesiącach życie staje się na powrót ciągiem spraw dużych i małych, bez większych wstrząsów.

Komitet na rzecz Humanitarnego Uboju Zwierząt przyznaje mi medal, taki sam jak ten, który wisi na gwoździu na ścianie mojego pokoju w Mazatlán, ale tamten należy do Charlesa Huntingtona, a Yasuko jedzie odebrać go w moim imieniu.

Kończę remont 7 przetwórnicy na wybrzeżach Morza Śródziemnego, a w każdej z nich działa tuńczykowy raj, raj tymczasowy – póki nie nadejdzie dzień rzezi.

Piszę artykuł dla magazynu „Nature” i nadaję mu tytuł, o którym z góry wiem, że robi wrażenie: *O dynamice tarła: okres godowy, zapłodnienie i wzrost larw tuńczyka błękitnego w niewoli.*

Skandal w przemyśle mięsnym i rybnym! Chaos na wydziałach biologicznych!

Jak dowodzą setki e-maili wysyłanych do „Nature”, z kwestie mają być szczególnie skandaliczne. Że mój tekst nie zawiera żadnych odniesień, a moje schematy i wykresy zajmują większą część artykułu.

Wówczas „Nature” składa mi propozycję dalszych publikacji, o czym tylko chcę i kiedy chcę.

Mój następny artykuł nosi tytuł: *O dynamice kształcenia homo sapiens w duchu Kartezjusza, czyli dlaczego nie włączono Darwina do kanonu postaw ludzkich.*

Nie publikują go, chcą, żebym pisała tylko o tym, co nazywają „sposobem hodowli i połowu ryb na miarę XXI wieku”. Robię to, ale na końcu kolejnego artykułu wkładam u dołu strony następujący przypis:

*Wielka szkoda, że po publikacji „O powstawaniu gatunków” Darwina pod koniec XIX wieku nie ułożono sterty ze wszystkich książek Kartezjusza i jej nie podpalono. Gdyby tak się stało, nowe formy w stosunkach między ludźmi a zwierzętami zostałyby wymyślone już w wieku XIX, a nie dopiero w XXI, kiedy to fauna planety jest zagrożona. Trzeba wreszcie zrobić to ognisko z książek Kartezjusza. Spalmy je!*

Artykuł ukazuje się, ale bez tego paragrafu, a Ja dostaję od redakcji zwięzły e-mail:

*„Nature” nie publikuje tekstów nawołujących do nienawiści, a tym bardziej podżegających do palenia książek.*

Szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem, dlaczego nie palić błędnych książek. Tylko odwracają uwagę od książek, których tok myślenia jest mniej błędny, a przecież myślenie powinno być nauką rozwijową. Chodzi mi o to, że gatunek ludzki powinien uczyć się myśleć coraz lepiej, coraz łatwiej, coraz szczęśliwiej.

Gdybym to Ja była Minister Edukacji Światowej, spaliłabym wszystkie książki Kartezjusza, ale to nie wszystko, spaliłabym też książki wszystkich autorów, którzy myślą jak Kartezjusz, co stanowi jakieś 99% książek opublikowanych w ciągu ostatnich 3 stuleci, a studenci, drzewa i zwierzęta byłiby mi za to wdzięczni.

Tymczasem Gould publikuje swoją książkę: *Profit (a love story)*, czyli *Zysk (historia miłości)*. Książka utrzymuje się na pierwszym miejscu listy bestsellerów w Stanach Zjednoczonych przez 11 miesięcy i zostaje przetłumaczona na 17 języków. Nie wiadomo, czy ktoś zarabia miliony dzięki przeczytaniu tej książki, ale Gould z pewnością tak – za wynagrodzenie autorskie kupuje nowy odrzutowiec, a mnie daje swój stary, razem z pilotem w czarnym mundurze ze złotymi odznakami.

Idziemy, Ja i Yasuko, pasem startowym w kierunku białego samolotu z literą G na ogonie, a w jego drzwiach czeka na nas elegancki pilot w czarnym mundurze ze złotymi odznakami, kiedy Yasuko szepcze:

- Gould cię okłamuje.
- Gould nigdy nie kłamie – złoszcę się.

– Haha – mówi oschle Yasuko. – To nie dzięki dochodom z książki jest dla ciebie taki hojny. To dzięki dochodom z twojej lampy na muchy, jego interesu życia.

Wchodzimy po schodkach do samolotu, a Ja zastanawiam się, czy to może być prawda. Moja elektryczna pułapka na muchy, o której tak rzadko sobie przypominam, jest na całym świecie, choć w lepszym wydaniu, łączącym żarówkę i tackę na wodę w jedną całość.

W małych i dużych restauracjach, w zakładach spożywczych, w hotelach w gorących strefach klimatycznych. Nawet w londyńskiej Saatchi Gallery, gdzie jakiś artysta powiesił elektryczną pułapkę na muchy za szybą razem z gnijącym kawałkiem wołowiny, co zapewnia stały napływ do lampy much, które przypieka z krótkim zzzzz.

Zapewne był to ten sam artysta, który przed laty umieścił jagnię w akwarium wypełnionym formaliną, co uznano za początek postmodernizmu (!), i o którym 5 lat temu w swoim biurze na 132. piętrze szanghajskiego wieżowca Gould powiedział:

– To mistrz reklamy.

Wchodząc do samolotu, Yasuko mówi:

– Dla Goulda jesteś idealną współniczką. Nie robisz nic innego, tylko pracujesz i śpisz. Nie śledzisz swoich przychodów, a twoje wydatki reprezentacyjne są minimalne, skoro do pokoju hotelowego przynoszą ci tylko zmrożony jogurt.

Elegancki pilot wskazuje nam skórzane siedzenia w miodowym kolorze, na których siadamy, a Ja proszę go o martini, z dużą ilością alkoholu, dodając. Yasuko ciągnie swój nużący wywód na temat tego, jak Gould mnie oszukuje, ale Ja wyłączam się na ludzką mowę i jej głos brzmi dla mnie jak zwykle buczenie, wciskam guziczki w oparciu fotela, które odchylają siedzenie w tył i unoszą podnózek, rozkładają fotel poziomo jak łóżko i składają go z powrotem.

Kiedy kapitan wraca z martini na srebrnej tacce, mówię mu:

– To dla Yasuko.

I wreszcie Yasuko przestaje narzekać na Goulda, żeby się napić.

Cóż, może Yasuko ma doktorat z ekonomii, ale jak dla mnie to nie najgorszy interes – biały odrzutowiec w zamian za pułapkę na muchy.



Coś jeszcze dzieje się w ciągu tych miesięcy. 15. dnia każdego miesiąca, gdziekolwiek akurat jestem, dostaję do hotelu białą kopertę bez nadawcy z 2 brzytwami w środku.

Wiem, wiem, teraz, gdy to piszę, wiem już, że od razu powinnam była poinformować o tym detektywa z Interpolu, ale kiedy pierwszy raz dostaję kopertę, w której odznaczają się 2 płaskie przedmioty, myślę o Ricardo i cytrynowych liściach, które przez lata wysyłał mi na uniwersytet w białej kopercie, i dlatego otwieram.

A czemu otwieram kolejne koperty, nie zawiadamiając detektywa? Z kilku powodów, wszystkich bardzo osobistych.

1. Jak wyżej. Przypominają mi o Ricardo i 2 liściach drzewa cytrynowego, które mi przysyłał.
2. Jestem jedną z ostatnich osób na ziemi, które używają brzytw do golenia, i wiem, jak trudno je dostać.

Oraz

3. Po prostu. To 2 niewinne brzytwy i jakkolwiek by na nie spojrzeć, nie jest na nich zapisana żadna pogroźka.

Koniec końców to, że nie dzwonię do Interpolu, będzie miało nieodwracalne skutki dla mnie i dla wielu ludzi, jednak za każdym razem, kiedy dostaję brzytwy, po prostu je chowam, a któreś nocy, gdy zauważam w lustrze, że moje włosy odrosły już 7 centymetrów od skóry głowy, wydaję 1 z 5 spiętych spinaczem kopert, wyciągam 1 brzytwę i w końcu robię z niej użytek.

Wkładam ostrze brzytwy do mojej stalowej maszynki i golę się od stóp do głów. Nogi, włosy łonowe, pachy, kark. Potem maszynką elektryczną obcinam 6 centymetrów włosów na głowie.

Wtedy dzwoni moja komórka.

To Grubaska, więc bardzo się cieszę.

– Witaj, Grubasko – mówię. – Nigdy wcześniej do mnie nie dzwoniłaś. W Mazatlán jest teraz dzień?

– Twoja ciotka jest bardzo chora – odpowiada.

Lecę w kierunku przeciwnym do stref czasowych i wchodzę do domu w Mazatlán, gdzie wita mnie intensywny zapach białej tuberozy – w rozsianych po całym domu wazonach stoją białe tuberozy.

Tuberozy na półce przy wejściu. Tuberozy na stole w salonie z podłogą w marmurową szachownicę. Tuberozy w mosiężnym wiadrze obok otwartego okna, przez które dostrzegam na plaży zapoateckiego malarza stojącego przy sztaludze, w białej koszuli lśniącej w południowym słońcu.

Tuberozy na stole w bibliotece, gdzie Łysol podnosi znad książki zaczerwienione oczy.

Strasznie się boję, otwierając drzwi do sypialni ciotki. Zastaję tam trzeciego mężczyznę, starszego, siwego, w kremowym garniturze z kamizelką. Na mój widok kiwa głową.

– Pan doktor – mówię.

– Tak. Ale także pierwszy mąż twojej ciotki.

Mówi to po angielsku.

Ponad jego ramieniem dostrzegam rozpostarty na tarasie czerwony parasol. Wychodzę. Ciotka Isabelle leży na łóżku z białym materacem odwrócona do mnie plecami, jej lnianą koszulę wydyma wiatr, a morze w samo południe ma kolor stali.

Siadam za jej plecami na brzegu materaca i kładę jej rękę na ramieniu. Słyszę, jak mówi:

– Nie możesz mnie tak zobaczyć, nie od razu. Poczekał 10 minut, a ja będę się powoli do ciebie odwracać, zgoda?

– Zgoda – mówię.

– Ciekawe, czy mnie poznasz – mówi ciotka.

Skóra głowy pod jej ściętymi równo centymetrowymi białymi włosami jest zaróżowiona. Na czubku głowy ma czerwoną bliznę, długą na 9 centymetrów. Kiedy ciotka Isabelle odwraca się nieco bardziej, by mi się pokazać, napotykam jej zielone oczy, wielkie jak zawsze, ale tym razem, w jej wychudzonej twarzy o skórze przyklejonej do kości policzkowych i żuchwy, te zielone oczy wydają się większe niż kiedykolwiek.

– Wyglądam jak – mówi i przerywa, by przełknąć ślinę.

I kończy:

– Jak kościotrup, co?

Mówię:

– To prawda.

Uśmiecha się:

– Wyglądamy jak bliźniaczki, Karen. Nawet taka sama.

– Fryzura – dokańczam za nią. – Co się stało? – pytam.

Mówi tak wolno, że pomiędzy zdaniami, które wygłasza, morze ma czas, żeby zaszumieć.

– Pieprzony wylew.

My, kobiety z rodziny Nieto.

Krwawimy spomiędzy nóg w wieku 15 lat.

A w wieku 67 mamy ten pieprzony.

Pieprzony wylew krwi do mózgu. Genetyka.

W wieku 67 lat zmarła twoja matka, pamiętasz?

– Nie – mówię – nie pamiętam.

Chwytam ją za chudą, bladą dłoń, kostki jej palców są grubsze niż same palce. W mojej dłoni wygląda jak dłoń dziecka i waży mniej więcej 100 gramów.

Mówię:

– Nie pamiętam nic, zanim nie zjawiałaś się ty.

– Tak, twoja matka miała taki sam pieprzony wylew jak ten, a potem pojechała tym swoim jeepem.

Bierze głęboki oddech, by móc dokończyć:

– Na zakręcie pojechała w prawo i rzuciła się w przepaść.

Kładę się za jej plecami. Moje ciało obok jej ciała. Tak jak w dzieciństwie. Podnoszę jej głowę i kładę ją na swojej głowie. Żeby jej głowa odpoczęła na mojej.

Słyszę, jak mówi:

– Będzie mi tego brakowało.

Słońca.

Morza.

Moich 3 mężów.

A przede wszystkim ciebie.

Wychowując cię, popełniłam tylko jeden błąd. Przetwórnia.

Bardziej lubiłaś zwierzęta niż ludzi, a ja wysłałam cię do ubojni tuńczyka. Co za straszny błąd, ale.

Ale przychodzimy na świat, który jest już stary. Pełen rzeczy i spraw po naszych rodzicach. I rodzicach rodziców naszych rodziców.

Przychodzimy na ten świat pełen starych gratów. Wytartych słów. Wyświechtanych zdań. Zużytych zwyczajów. Już dawno przeżytych sposobów na życie.

Przetwórnia mojego dziadka była tu, zanim się urodziłam. A pomyśl, żebyś ty, moja siostrzenica, odziedziczyła ją po mnie, też był już tu od wieków.

Niech mi Bóg przebaczy – szłocha ciotka Isabelle.

Śmieję się spod jej głowy:

– Teraz mówisz o Bogu, ciociu.

– Nie zmieniałam zdania – mówi. – Bóg jest wszystkim tym, czego nie znamy. Jeśli na jakieś pytanie nie ma odpowiedzi...

– Odpowiedzią na nie jest Bóg – dokańczam zdanie, którego ona mnie nauczyła.

– A zatem – mówi – niech Bóg, który jest ogromny, przebaczy mi, która jestem taka malutka.

Pozostajemy w tej pozycji, ciało przy ciele, jej głowa na mojej głowie, patrząc na słońce i morze, chwilami rozmawiając, dopóki ciotka nie przestaje mówić.

Zasypia, a jej głowa pomrukuje na mojej głowie.

I tak zapada zmierzch, niebo i morze napełniają się kolorami pomarańczy, a na wschodzie rysuje się sierp księżycy i jak malenki romb światła pojawia się Wenus.



W kolejnych dniach ciotka Isabelle coraz bardziej gubi słowa. Z krótkimi białymi włosami, ubrana w biały len, porusza się na wózku, zatrzymuje się na środku marmurowej szachownicy w salonie i rozgląda się wkoło ze zdumieniem.

Napotyka moje oczy.

Oblizuje wyschnięte wargi. Chce coś powiedzieć. Nie znajduje słów.

Mówi:

– Lotnisko.

Nie, to nie to słowo, którego szukała, potrząsa głową i śmieje się. A Ja śmieję się z nią. Jej mężczyźni nigdy się nie śmieją, za każdym razem, gdy ciotce nie udaje się znaleźć właściwych słów, robią przerażone miny.

Zapotecki malarz spędza czas, spacerując po plaży, z rękami wbitymi w kieszenie dżinsów, uniesionymi ramionami, i płacząc.

Łysol zajął się nagle alfabetycznym porządkowaniem zbiorów biblioteki pradziadka: 10 tysięcy tomów, które przez 120 lat trwały w nieładzie.

Doktor mierzy ciotce ciśnienie 16 razy dziennie. Rozbiera ją, kładzie w łóżku w świeżej pościeli i robi zastrzyk – 4 razy dziennie. Co 8 godzin bada pod mikroskopem kropelkę jej moczu. Nocą patrzy przez swój teleskop, który ustawił na tarasie, i jak mówi, czeka

na narodziny gwiazdy, która ma się pojawić na niebie we wrześniu i przez następny rok osiągać swój ostateczny rozmiar.

Pomiędzy mikroskopem z kroplą moczu swojej żony a teleskopem przygotowanym na narodziny gwiazdy, która wciąż się nie rodzi – tak oto spędza czas doktor. A oprócz tego czyta jej książki. Zastaję ich, doktora i ciotkę, siedzących ramię w ramię na tarasie albo w sypialni, albo obok sadzawki, a on czyta na głos zieloną, niebieską albo żółtą książkę. Póki nie zauważy, że ciotka chrapie.

Poprawka: mruczy, bo moja ciotka jest tak elegancka, że nawet kiedy chrapie, to tak naprawdę mruczy.

Podczas kolacji doktor i Łysol opowiadają anegdoty, w których występuje tylko ten z nich, który mówi, i ciotka Isabelle. Ciotka u szczytu stołu kiwa głową.

Czasem potwierdza jakimkolwiek wyrażeniem zbliżonym do „tak”:

– Cały.

Albo:

– Gołąb.

A ten, który akurat zabiera głos, ciągnie opowieść o tym, jak to on i ciotka jedli w restauracji na wieży Eiffla wysmienite ostrygi, potem poszli razem nad rzekę i tamto, i siamto, a ten z kochanków, którego przy tym nie było, wścieka się i już szykuje kolejną historię, w której to on i ciotka Isabelle przemierzali razem całe Indie i nauczyli się na pamięć z rysunków na ścianie 57 form spółkowania, po czym wypróbowali numer 15, a potem 32.

Zapotecki malarz niczego nie opowiada, rysuje tylko palcem na obrusie niewidzialne rzeczy.

Któregoś wieczoru ciotka szepcze:

– Karen, podaj mu.

Wpatruje się w powietrze, szukając w nim właściwego słowa, zachacza wzrokiem o muchę, która zbliża się do mojej lampy na muchy, przypala się i spada na tackę.

Ciotka próbuje na nowo:

– Podaj mu nóż. Nie, szczypce.

Idę po jedno z moich piór Variety Pilot, na czarny atrament, a kiedy podaję je malarzowi, zielone oczy ciotki rozbłyskują.

– Właśnie – mówi. – Właśnie. Podaj mu...

– Pióro – dokańczam.

– Pióro! – wykrzykuje szczęśliwa. – Pióro, pióro!

Począwszy od tego wieczoru, gdy podczas kolacji rozmowni partnerzy mojej ciotki licytują się na historie, niemy malarz rysuje na obrusie króliki, jelenie, byki biorące jelenie na rogi, jaszczurki między nagimi kobietami, nagie kobiety w butach na obcasie zaplecione między sobą nogami, rozgwiezdzy i koniki morskie między gwiazdami na niebie i końmi na ziemi.

Wstajemy od stołu po kolacji, a on dalej rysuje.

Rano Grubaska rozciąga obrus na podłodze u stóp siedzącej na wózku ciotki, ta zachwyca się rysunkami i smuci plamami z atramentu, przy których malarz płakał, a on stoi obok, bosy, milczący, z przerażoną twarzą, dłońmi w kieszeniach dżinsów i uniesionymi ramionami.

Któregoś dnia w południe siedzimy razem w jej sypialni, ciotka przy stole je owsiankę i upuszcza łyżkę, która spada na jej białe lniane spodnie.

Przygląda się zabrudzeniu, owsiance na nogawce spodni.

Idę po ręcznik. Przyklekam, żeby to wyczyścić. Siadam na krześle obok niej i zaczynam ją karmić, łyżka po łyżce. Z kącika jej zielonego oka wypływa łza.

– Karen – mówi – chcę ci pokazać moje.

Szuka słów. Mówi:

– Moje spółdzielcze. No, od spółdzielców – naciska rozpaczliwie. – Te działki i te, te inne. Plan dystrybucji. Kurwa mać. Projekt.

– Twój testament – zgaduję.

Ciotka potwierdza.

Idę do sejfów po testament. Czytam go jej. Przytakuje przy każdym punkcie. I nagle przestaje. Odeszła z otwartymi oczami. Oddycha, ale odpłynęła.

Budzi się, rozpoznaje mnie i testament w moich rękach, mówi:

– Powiedz im że. Żeby.

Myśli. Potrząsa głową. Kolejna łza cieknie z jej zielonego oka. Męczy ją własna umysłowa ociężałość. Przykłada do ust opuszkę 3 palców, a potem macha tymi 3 palcami w geście pożegnania.

Zbieram kochanków ciotki w bibliotece i oznajmiam:

– Ona chce, żebyście sobie poszli.

Każdy po kolei – doktor, Łysol-bibliotekarz i malarz – spędza chwilę sam na sam z ciotką w jej sypialni, a potem wszyscy 3 wychodzą z domu gęsiego, z walizkami w rękach.

Ciotka Isabelle patrzy przez okno, jak wsiadają do 3 różnych taksówek, które, jak przypuszczam, dotrą na lotnisko w tym samym czasie.

I właśnie wtedy Grubaska wręcza mi 6. białą kopertę bez nadawcy, wysłaną na moje nazwisko do miejscowości Nozatlán i z 2 brzytwami w środku.

– Może ci się do czegoś przydadzą – mówię Grubasce, oddając jej kopertę. – Ja już mam 9 takich brzytw.

Co ciekawe, po odjeździe kochanków ciotka Isabelle robi się bardzo rozgadana.

– Morze, morze – mówi na tarasie, patrząc na morze. – Może to już. Może żółte morze marzeń, może samo słońce. Słone same ości. Słonej samotności.

Wyjaśnia:

– To fragmenty wierszy, których uczyłam się jako.

Jako.

– Jako dziecko – mówię.

– Jako dziecko! – woła. – Jesteś dzieckiem, odwracasz się na chwilę i już jesteś. Jesteś. Cholerny wylew, psia jego mać.

– Staruszką – kończę za nią.

Śmieje się.

– Tak, staruszką – mówi.



Przez cały tydzień recytuje wierszyki, których uczyła się w dzieciństwie w szkole, a przynajmniej odtwarza rytm, ale nie potrafi budować nowych zdań.

– Pędzę na sennych skrzydłach, pędzę na sinych skrzydłach, na pięknych, na pewnych, na słonych, pędzę na sennych skrzydłach.

W kolejnym tygodniu już tylko bawi się sylabami: Bla ble blu blo, plo pla ple.

Jeszcze tydzień później opuszcza ją ochota, by zajmować przestrzeń dźwiękową. Siedzimy w ciszy na tarasie, patrząc na morze i słońce, czasem pojawia się zniecierpliwiona klucza mew jak litera V.

Albo mała żaglówka na horyzoncie.

Czasem ciotka robi się niespokojna, porusza wtedy z palcami, wskazującym i środkowym, i wiem, że chce papierosa, zapalam go dla niej i jej podaję, a ona pali go niespiesznie, aż patrzy na niego zdumiona i mówi:

– Cholerstwo – i rzuca niedopałek na bruk z czerwonej kostki.

W tych dniach, najdłuższych i najspokojniejszych w całym moim życiu, ciotka i Ja oddajemy się wyłącznie, i z całą starannością, istnieniu.

Istnieniu, które dla mnie polega na tym, żeby oduczyć się pośpiechu. Rozluźnić mięśnie serca i pozwolić mu bić swoim rytmem. Siedzieć w upalnym słońcu, nie myśląc o upale. Jeść, kiedy jest się głodnym, i spać, kiedy zapada noc i ciemność przykrywa wszystko, bo w ciemności wszystko może odpocząć.

Nauczyć się być na nowo. Być i patrzeć. Widzieć wszystko takim, jakie jest, i to jakie jest dziś, bo nie wiemy, czy jutro będzie takie samo.

W moim dzienniku czytam:

Doktor Brody, pierwszy mąż ciotki, wyjaśnił mi, że ciotce pękła tętnica i krew zalała korę mózgową odpowiedzialną za mowę.

Na początku myślał, że będzie mógł wyssać tę krew za pomocą ekstraktora, więc otworzył jej czaszkę na czubku głowy, by umieścić w niej ten milimetrový ekstraktor.

Nie udało się usunąć krwi, więc umieścił tam milimetrový soczewkę, za pomocą której nagrał uszkodzenia w mózgu.

Później razem obejrzeli to nagranie w telewizorze na sali szpitalnej, a on pozwolił jej zdecydować, czy chce, żeby milimetrovymi nożyczkami wycięto tę przesiąkniętą krwią strefę, co mogło spowodować częściową albo całkowitą utratę świadomości.

Trudno było to przewidzieć. Mózg, jak wyznał doktor, jest jednym z tych zakątków planety, których większej części wciąż jeszcze nie znamy.

Ciotka Isabelle powiedziała, że nie chce stracić świadomości, ani całkowicie, ani częściowo. Powiedziała, że po co niby miałyby żyć bez pełnej świadomości. Że ona była swoją świadomością.

Wtedy doktor zabrał ją do domu w Mazatlán z nadzieją, że mózg sam wchłonie plamę krwi.

Stało się jednak inaczej. Plama rozeszła się po tkance miękkiej kory mózgowej. Jednego tygodnia mieszały jej się rzeczowniki. Drugiego składnia. Jeszcze innego dnia traciła równowagę.

Nim doktor wyjechał, ciotka nie potrafiła już ani chodzić, ani jeść sama, ani pisać, ani czytać, ani mówić wyraźnie. Gorzej, nie potrafiła myśleć wyraźnie. Ale jeszcze tego samego dnia, kiedy doktor wyjechał, zaczęła recytować wiersze, których nauczyła się jako mała dziewczynka.

Każdego ranka budzę się, myśląc, gdzie tym razem przemieściła się plama krwi na korze mózgowej ciotki. Czy ciotka będzie miała jasność umysłu, czy nie? Będzie potrafiła mówić i rozumieć czy znów znajdzie się poza zasięgiem języka?

Wczorajszej nocy ciotka nagle odwróciła się do mnie we śnie, otworzyła swoje wielkie oczy i powiedziała:

O Boże, co teraz?

A jednak dziś obudziła się w świetnej formie. Nie chodzi i nie kontroluje swoich ruchów, ale mówi z precyzją i swobodą. Jest szczęśliwa. Ja jestem szczęśliwa. Kiedy zadzwonił doktor i powiedziałam mu o tym, powiedział, że jest całkiem możliwe, iż taki stan się utrzyma przez jakiś czas.

Rok? – zapytałam.

Być może, odparł. Czemu nie? Ale równie dobrze może tylko kilka godzin.

Niosę ją na rękach do łazienki, sadzam na sedesie. Patrzy na mnie roześmianymi oczami. Opowiadam jej o ubikacji w Japonii, śmieje się, że miałam orgazm dzięki strumieniowi wody z muszli klozetowej.

Pyta, czy nigdy więcej nie widziałam Ricardo. Mówię, że nie. Mówi, żebym go odszukała. Wyznaje, że ma numer telefonu do pewnego domu na Sycylii, gdzie być może mieszka albo gdzie coś wiedzą na jego temat.

– Zadzwoń do niego – nalega.

– Po co mi Ricardo? – pytam.

– Naprawdę nie domyślasz się po co? – pyta ciotka.

– Nie mam pojęcia – mówię.

A ciotka śmieje się ze mnie.

Później, kończąc sobie nawzajem zdania, wspominamy, jak panna Alegria narzekała na mnie, bo nie potrafiłam zrozumieć, że sranie to wstyd, i w toaletach muzeów w Mazatlán chciałam srać tylko przy otwartych drzwiach kabiny, by nie czuć się jak w pułapce.

Bardzo poważna, mówi do mnie pełnymi zdaniami, które tak mnie cieszą:

– To kolejny błąd, który popełniłam w twoim wychowaniu.

– Kolejny? Jaki? – pytam.

– Pozwoliłam, żeby panna Alegria próbowała zawstydić cię twoim własnym odbytem. Ale to właściwie błąd naszego gatunku, również bardzo stary. Sranie jest zakazane dla oczu ludzi cywilizowanych. Świadomość ludzi cywilizowanych nie przyjmuje faktu, że zabijamy, by jeść, a sramy tym, co zjedliśmy. Jesteśmy ślepi na rzeźnie i ścieki, ale ta ślepotą, ta ślepotą i ten wstręt, odgradza nas od tego co ludzkie. Powiem ci coś w tajemnicy – mówi, pochylając głowę w moją stronę. – Gdy chodzi o wszystko to, co nie jest ludzkie, my, ludzie cywilizowani, jesteśmy autystyczni.

Śmieję się razem z nią, bo to takie prawdziwe.

– Wyznam ci coś jeszcze – szepcze, głaszcząc obiema dłońmi moją ogoloną głowę. – Nigdy nie usłyszałam morza, choć tyle lat mieszkam w domu nad jego brzegiem.

– Nieprawda – mówię.

– Prawda, prawda – zapewnia. – Nigdy nie słuchałam go dłużej niż przez 30 sekund. A jak byłam bardzo pijana, to przez 1 minutę i 30 sekund. Słuchałam go przez 1,5 minuty po pijaku albo przez 30 sekund na trzeźwo, a potem moje myśli zabierały mnie gdzie indziej.

– Coś podobnego! – wołam.

– Coś podobnego! – woła ciotka. – Szum myśli w mojej małej okrągłej głowie zagłuszył ogromne morze. Nie – mówi ze smutną miną – nigdy tak naprawdę nie usłyszałam morza. Dlatego ty – ciągnie ciotka na sedesie, wyrażając się ze swobodą wykładowcy akademickiego i czekając, aż jej wątle jelito wywali gówno – dlatego ty, która nie odgradziłaś się od rzeźni i od gówna, ty, która nikomu nie pozwoliła oddzielić się od Natury, ty, która korzystasz z mowy, ale możesz jej nie używać całymi godzinami i dniami, ty jesteś moją nadzieją dla gatunku ludzkiego.

Śmieję się z wielkich słów ciotki Isabelle.

– Ty – upiera się, głaszcząc mnie znów po głowie – ty jesteś pośredniczką między zwierzętami, które mówią, a tymi, które nie mówią. Jesteś mutacją gatunku, która osiągnie nowe porozumienie z rzeczywistością. Rozumiesz? – pyta.

– Nie wiem – odpowiadam.

– Jeszcze zrozumiesz – mówi ciotka – i zobaczysz, że tak właśnie jest. Ale kto wie, może nigdy mnie nie zrozumiesz i może wcale tak nie jest. Najbardziej niepokojące w rzeczywistości jest to, że nic nie jest napisane czarno na białym, nic nie jest pewne, wszystko może się zdarzyć albo i nie.

Gdy kończy tę myśl, do wody wpada nagle jej gówno.

Niosę ją przez sypialnię na taras i sadzam w wózku inwalidzkim twarzą do morza.

Karmię ją owsianką, łyżka po łyżce. Ale przy 10. łyżce jej już nie ma. Odpłynęła. Owsianka cieknie z kącików jej ust.

Wkładam ciotkę do wanny. Wyjmuję ją i owijam w duży biały ręcznik, wycieram, a potem sadzam nagą na brzegu łóżka. Jest szczupła i krucha jak mała dziewczynka, ale ma twarz staruszki. Strzygę jej



białe włosy. Obcinam paznokcie u rąk. Klękam na podłodze, żeby obciąć paznokcie każdego różowego palca u każdej ze stóp.

Za uszami i na zgięciach łokci pryskam ją jej różanymi perfumami.

Kładę się w ubraniu do łóżka i leżę obok niej, nagiętej, patrząc w biały sufit, dopóki nie zakryje go ciemność nocy.

Tej nocy budzą mnie słowa, które szepcze do mojego ucha:

– Żegnaj.

Powodzenia.

Zobaczmy, czy jest coś po drugiej stronie.

Zobaczmy, czy jest ktoś po drugiej stronie.

Jeśli będę mogła, dam znać.

Albo wyślę ci wiadomość.

A jeśli nie będę mogła, to nie.

Słyszę jej coraz głębszy oddech i huk morza za oknem.

Gdy budzę się rano, dotykam jej pod prześcieradłem. Jest zimna.

Wstaję z łóżka i odkrywam ją, rzucam na bok białe prześcieradła i patrzę na nią, leżącą na białym łóżku. Wychudłą, z żebrami rysującymi się pod skórą.

Na zielonej trawie w cytrynowym zagajniku zaroilo się od małych różowych krabów, które miażdżą butami, niosąc na rękach nagą i martwą ciotkę.

Wykopuję łopatą dół pomiędzy z pniami cytrynowych drzewek.

Na białą twarz ciotki spada pierwsza łopata czarnej ziemi, a Ja opieram się na łopacie, nie potrafię dłużej uznawać jej za martwą.

Ale później jej ciało przykrywają stopniowo kolejne łopaty ziemi.

Za pomocą maczety wycinam w świeżo przekopanej ziemi prostokąt. Zapelniam go białymi kamyczkami.

Ciotka prosiła mnie, żeby pochować ją w ziemi bez trumny:

– Żeby oszczędzić ci złudzeń – wydyszała mi w twarz, obejmując ją dłońmi.

Przykryłam to miejsce białymi kamyczkami, żeby o nim nie zapomnieć.

Dla Maxa, tej papużki, zero, czyli o, było liczbą, której nie potrafił pojąć, nie potrafił objąć.

– Patrz, Max. 3 jabłka. Ile?

– 3 – odpowiada swoim głosem, który brzmi jak stary gramofon.

– Max, teraz zabieram 1 jabłko. Ile zostało?

– 2 – mówi Max i rozpościera swoje perłowoszare skrzydła. – Keczup! – kracze.

– Czekaj, Max. Potem będzie keczup. Teraz zabieram ostatnie 2 jabłka, ile zostało?

Max wbija oczka w puste miejsce na stole.

Mija 30 sekund, a on nadal wpatruje się w miejsce, w którym nic już nie ma.

– Zero – mówię. – Zostało zero. Zero.

– Zero! – kracze w końcu Max ochryple.

Częstuję go orzeszkiem ziemnym, który wyrывa dziobem spomiędzy moich palców.

3 lata – tyle właśnie zajęło Maxowi pojęcie, objęcie liczby zero.

Zero: liczba niemożliwa.

Mnie również zajmuje dużo czasu uświadomienie sobie, że jeśli pochowałam ciotkę Isabelle, to nie zastanę jej już na tarasie ani w łóżku, ani w jadalni, więc nie ma najmniejszego sensu, żebym nadal zmieniała codziennie ubranie, myła się, odbierała telefon stacjonarny czy komórkowy, nie ma sensu włączać komputera, czytać gazety, mówić do siebie samej ani myśleć, po kiego diabła.

Zatem rozplýwam się. Tam gdzie byłam Ja, teraz nie ma nic.

Pewnego dnia budzi mnie telefon. Siedzę na czarnym kwadracie marmurowej szachownicy na posadzce w salonie.

W powietrzu pełnym żółtego światła fruwa powoli jeden za drugim 29 czarnych motyli, które przyklejają się do poszarzałych ścian między roztrzaskanymi szybami, a Ja zdaję sobie sprawę, że w salonie nie ma ani jednego mebla, ale zanim docieram do kuchni, gdzie także nie ma już stołu i skąd wciąż dzwoni stary czarny telefon, znikam ponownie.

Innego dnia znów budzi mnie telefon. Kiwam się na drewnianej podłodze w moim pokoju, a obok mnie przechodzi kolumna mrówek. Idę za nią.

Kopiec mrówiska, gdzie gromadzi się i kłębi 15 kolumn mrówek, znajduje się na plaży.

Jestem głodna. Bardzo głodna. Wkładam do ust garść piasku i go wysysam. Jest słony. Przypominam sobie, jak w dzieciństwie chłopiec na posyłki kopał mnie w pięść, żebym wypuściła piasek. Przeżuwam. Myślę o Grubasce, która zniknęła z domu. I myślę, że jedzenia mi nie zabraknie, przecież plaża jest jadalna i cała dla Ja, dla tego wygłodniałego zwierzęcia, jakim jestem Ja.

Któregoś dnia kolejny telefon przywraca mi świadomość. Podnoszę słuchawkę w kuchni. To Gould.

– Karen – mówi. – Siadaj.

– Po co?

– Mam złe wieści.

Koncentruję się i zdaję sobie sprawę, że siedzę na niebieskich kafelkach w opustoszałej kuchni, ze słuchawką na ramieniu. Odpowiadam:

– Już siedzę.

– Ktoś wysadził przetwórnice – mówi Gould.

– Gdzie?

– Jak to gdzie? Tam, gdzie były. Karen, skup się. Ktoś podłożył dynamit pod 7 przetwórni. Wszystkie wyleciały w powietrze tej samej nocy.

– Nie wiem, co powiedzieć – mówię.

– Interpol prowadzi dochodzenie w tej sprawie – mówi Gould. – Ale się nie denerwuj. Były ubezpieczone. No, ale teraz trzeba będzie je odbudować od pierwszej cegły.

– No tak. Od pierwszej. A tuńczyki?

– Co: tuńczyki? Nie wiem nic o tuńczykach, Karen.

– Tuńczyki są w morzu, w swoich rajach – mówię. – Nie sądzę, żeby ucierpiały.

– Mówię ci, że jeszcze nie pytałem o tuńczyki, Karen.

– Jaki mamy miesiąc?

– Styczeń – odpowiada głos w słuchawce. – Pogadamy jutro, Karen. Mamy mnóstwo roboty.

Rozłączam się.

Ale tym razem nie znikam. Powstrzymuję mnie tuńczyki. Myślę o nich, o moich tuńczykach. Ciągłe tylko o tuńczykach.

Muszę się umyć i sprawdzić, co z tuńczykami.

Nie wiem, jak to coś znalazło się w mojej wannie. Właśnie zamierzam odkręcić wodę, by się wykapać, gdy znajduję to na białym porcelanowym brzegu wanny. Plastikowa rybka, pusta w środku. To tuńczyk błękitnopletywy z otwartym pyszczkiem, przez który widać małe spiczaste zęby i czerwone wnętrze.

Obracam go w dłoni i dostrzegam na jego boku 3 małe czerwone litery:

ARM

Wtedy drzwi łazienki otwierają się powoli. Spodziewam się najgorszego.

Ale nie, nikt nie wchodzi.

Wychodzę z łazienki, ale nie ma nikogo na schodach. Drzwi otworzyły się same.

W bibliotece korzystam z komputera i wchodzę na stronę ARM. Nie dziwi mnie wcale, gdy na portalu odkrywam napisaną po angielsku wiadomość dla prasy i dla Karen Nieto, prezes i założycielki True Blue Tuna, inżynier humanitarnego uboju.

Wszystkiego najlepszego, Karen Nieto!

Wczorajszej nocy kolorowe fajerwerki rozświetliły niebo nad 7 nadmorskimi miejscowościami na szlaku migracji tuńczyka.

Najpierw głośne eksplozje rozrywające budynki, potem pożary, trzask płomieni, łoskot spadających belek, huk walących się ścian, a o poranku – pnące się w górę szare kolumny dymu...



Ostrzegaliśmy cię, jesteś śmiertelnie poważni. Walczymy, żeby zwyciężyć, walczymy w obronie niewinnych, przekroczyliśmy granicę przemocy i teraz nic nas już nie powstrzyma.

Terror za terror. Mord za mord. Nasz rachunek jest prosty: 12 mordców zwierząt zginie, by do ludzkości dotarło, że jej zbrodnie nie są już dłużej bezkarne – 3 wiwsektorów, 3 naukowców dręczycieli, 3 wielkich handlarzy mięsem i skórą oraz 3 inżynierów uboju.

Droga Karen Nieto, teraz twoja kolej na śmierć.

Zawsze dla zwierząt, aż do zwycięstwa!

ARM

19

Jak miała mi później opowiedzieć Yasuko, samolot dotknął kołami jedynego pasa na małym lotnisku w Caeiro, w chwili gdy słońce ledwo wyglądało zza horyzontu.

Gould zszedł po schodkach ubrany w bermudy w kolorze khaki, w swoich odwiecznych sandałach o podeszwach z przetopionych opon i czerwonej czapce baseballowej, a za nim ona, Yasuko, bardzo oficjalna w swojej szarej garsonce, z teczką na pasku przewieszonym przez ramię.

Wysiedli z taksówki w miejscu, gdzie stały dotychczas budynki przetwórní, a teraz tylko ogród drzewek oliwnych i cytrynowych lśnił w srebrzystym słońcu poranka.

Tam, gdzie wcześniej wznosiło się molo, był chodnik z białego kamienia, ale bliżej, obok drewnianego stołu przy ostatnim rzędzie cytrynowych drzewek, stałam ja, ubrana w koszulkę, dżinsy i białe sandały, a za moimi plecami rozciągało się spokojne, gładkie morze.

Wyciągnęłam do nich rękę i wtedy zrozumieli, że musiało wydarzyć się coś ważnego, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni, bo nigdy wcześniej nie podawałam im ręki.

Gould podał mi swoją, uścisnęłam ją ostrożnie, wyczuwając kciukiem każdą z 5 kości wychodzących z nadgarstka, ale Yasuko zawała się, zanim podała mi swoją. Również uścisnęłam ją z najwyższą ostrożnością.

Odkąd przyjechałam do Caeiro, przez 2 tygodnie ćwiczyłam ściskanie cudzych dłoni. Dłoni portiera przebranego za admirała

przy wejściu do hotelu. Dłoni 4 recepcjonistów stojących za ladą z białego marmuru. Dłoni pokojówek, które przychodziły sprzątać moje pokoje. Codziennie przez cały tydzień – dłoni każdego z robotników, którzy wywieźli gruzy pozostałe po przetwórni. A w kolejnym tygodniu – dłoni każdego z robotników, którzy obsiali ziemię trawą i posadzili w niej cytrynowe drzewka.

– Witam – mówiłam Ja i wyciągałam rękę.

Najpierw musiałam pokonać strach, a potem obrzydzenie, które wywoływała we mnie myśl, by wziąć do ręki coś tak nagiego, tak miękkiego i tak pełnego kości jak dłoń dwunożnego ssaka.

– Kiedy posadzili te drzewa? – zaczął rozmowę Gould, z iskierkami w niebieskich oczach.

Ja w końcu puściłam dłoń Yasuko i wszyscy 3 usiedliśmy przy stole. Poinformowałam:

– Wywieźli gruz, a tydzień temu kazałam przywieźć i posadzić drzewka cytrynowe. Już były tej wielkości, kiedy je sadziłyśmy – wyjaśniłam.

– Co ty nie powiesz – rzekł Gould, który był w dobrym humorze. – Pomówmy teraz o tobie. Ile osób było na pogrzebie twojej ciotki?

– Tylko Ja.

– Zaprosiłaś kogoś jeszcze? – zapytała Yasuko, która zawsze stawiała trafne pytania.

– Nie – powiedziałam. – To ciotka była towarzyska, a już nie żyła.

– Aha – rzekł Gould. – A ty, droga Karen, co porabiasz?

– Siedzę.

– No tak – powiedział Gould z uśmiechem. – Faktycznie siedzisz. A ja się ożeniłem – poinformował mnie i zdjął czerwoną baseballówkę, a mnie wydało się, że jest z nim coś nie tak. – Ożeniłem się z kierowniczką mojego biura w Szanghaju, na pewno pamiętasz, wysoka, szczupła Chinka, która cię witała, kiedy ostatnim razem odwiedzałaś mnie w Chinach.

– Nie pamiętam – powiedziałam.

– Jak to nie? – rzekł Gould. – Wysoka, szczupła, czarne włosy w koku. Prawdziwa piękność.

– Nie pamiętam – powtórzyłam.

Do naszej rozmowy włączyła się Yasuko:

– Kontynuujmy.

– No dobrze, kontynuujmy – rzekł Gould, ale zaraz wrócił do Chinki, by powiadomić mnie:

– Chodzi o to, że zaszła w ciążę, pobraliśmy się, kupiłem w San Francisco dom na plaży i tam pracuję. Codziennie biegam po plaży, a w domu zrobiłem sobie siłownię. Muszę się fizycznie przygotować, żeby wychować to nieoczekiwane dziecko. To znaczy, muszę żyć jeszcze przynajmniej 25 lat.

– Aż będziesz miał 104 lata? – spytałam, dodając do jego wieku kolejne 25 lat.

– A czemu nie? – powiedział Gould. – Moja matka ma 96 lat, pełną świadomość i mnóstwo planów.

I wtedy zauważyłam, co było z Gouldem nie tak.

– Wyrosły ci włosy na głowie – powiedziałam.

Gould roześmiał się:

– Codzienny seks sprawił, że odrosły mi włosy.

– Naprawdę? – zapytałam.

– Nie – rzekł on. – Przeszczepił mi je chirurg.

Gdy to powiedział, daleko na morzu skoczyły jednocześnie w górę 3 delfiny.



– Co to było? – zapytała Yasuko.

– 3 delfiny – powiedziałam. – Poszerzyłam raj o 100 metrów i pozwoliłam wpływać również delfinom.

– A kiedy rozpoczynamy budowę przetwórni? – zapytał Gould.

Osoba o zdolnościach dyplomatycznych wyraziłaby to pewnie inaczej, ale moje połączenia neurologiczne są inne, więc powiedziałam:

– Nigdy.

Gould zrobił zmartwioną minę . Yasuko zdziwioną . Ja nie zwracałam sobie głowy robieniem jakiegokolwiek miny, ale wyjaśniłam:



– W całym moim życiu miałam jeden oryginalny pomysł – zaczęłam. – Pomysł, nad którym myślałam przez 13 lat. Na który tak naprawdę nie wpadłam sama, ale we współpracy z innymi. Wymienię teraz jego części, które kolejno przychodziły nam do głowy.

– Uwielbiam ten twój porządek myślowy – rzekł Gould. – Mów dalej.

Powiedziałam:

– 1. 13 lat temu wymyśliłam połów tuńczyka bez okrucieństwa i bez mrożenia. Był to połów tuńczyka żółtopłetwego.

2. 11 lat temu w moim domu w Mazatlán zjawił się Gould i zmodyfikował ten pomysł. Zastąpił tuńczyka żółtopłetwego tuńczykiem błękitnym, zastąpił Ocean Spokojny, na którym dotąd poławialiśmy, Oceanem Atlantyckim i zmienił rynek zbytu, obmyślając sprzedaż w Azji, Europie, Australii i Ameryce.

– Otóż to – wtrącił Gould.

– 3. 4 lata temu, dzięki sugestiom tuńczyków, wpadłam na pomysł stworzenia w 7 naszych przetwórnich rajów, dzięki którym tuńczyki stawały się tłustsze, a ich mięso smaczniejsze.

4. 3 lata temu tuńczyki z rajów podjęły współpracę, składając jaja i zapładniając je.

– Otóż to – rzekł Gould. – Brawa dla tuńczyków za ich współpracę.

Ciągnęłam:

– 5. Wreszcie w tym roku do mojego pomysłu włączyła się ARM, niszcząc zaplecze przemysłowe procesu.

Yasuko otworzyła szeroko usta, a potem zapytała:

– Włączyła się ARM?

– Owszem – powiedziałam.

– Cisza – zarządził Gould.

Zapytał przyjaźnie:

– Chcesz powiedzieć, że ci terroryści współpracowali z nami... no w czym?

– Zniszczyli zaplecze przemysłowe – powtórzyłam.

Gould potarł dłonie zdenerwowany i rzekł:

– I ty uważasz, że to jest współpraca?

– Owszem – potwierdziłam. – To dzięki nim powiększamy teraz klatki w rajach w 7 przetwórnich i wpuszczamy do nich delfiny. A w Nogocor także żółwie, co również jest dobrym pomysłem, bo jedzą meduzy.

Daleko na morzu, w pobliżu koralowej wyspy, wyskoczyły 4 tuńczyki i z hukiem spadły do wody, zupełnie jakby słyszały, że mówi się o nich.

– A co z kutrami? – spytała nagle Yasuko, wodząc wzrokiem po pozbawionej kutrów powierzchni morza.

– Nie są dłużej potrzebne – powiedziałam. – Wysłałam je do Mazatlán, gdzie obejrzą je potencjalni nabywcy.

Gould odwrócił głowę w prawo i potarł szyję, by się rozluźnić. Potem spojrzał mi w oczy, a Ja naturalnie odwróciłam wzrok.

– Karen – powiedział stanowczo. – Nie wiem, co proponujesz.

– To znaczy, jaki jest punkt 6. i ostatni mojego wielkiego pomysłu?

– Właśnie, Karen, jaki?

– Nie łowić więcej tuńczyków.

Yasuko:

– Ale przecież jesteście firmą zajmującą się przetwórstwem tuńczyka.

Ja ciągnęłam:

– Nie musimy już więcej łowić tuńczyków. Każdego roku w naszych rajach populacja tuńczyków wzrosła czterokrotnie, a ich masa będzie zwiększać się o 1/3 co 2 lata.

– Aha – rzekł Gould. – Już rozumiem. Tak, teraz rozumiem. W naszych rajach będzie wzrastać liczebność i rozmiar tuńczyków, więc nie trzeba ich będzie więcej poławiać.

– Właśnie – zgodziłam się.

– No to rozumiem cię coraz lepiej – powiedział Gould. – Tymczasem tuńczyki na otwartym morzu będą z każdym rokiem coraz mniejsze i droższe.

– Otóż to – powiedziałam.

Gould ciągnął swoje obliczenia:

– I jeśli za 2 lata tuńczyk zniknie z morza, tak jak prognozują twoi szaleni koleżkowie z ARM, albo za 10, jak przewiduje ICCAT, my będziemy w posiadaniu jedynej rezerwy gatunku.

Zakupił w swojej rodzinnej miejscowości, Nopaltepec w stanie Veracruz, niszczącą katedrę na szczycie wzgórza i sąsiadujący z nią klasztor. Opróżnił je z krzyży, wizerunków świętych i klęczników, a na całej powierzchni stworzył ogród z kaktusów i kamieni, zamieszkały przez jaszczurki, iguany i kameleony. Odłączył kable państwowego koncernu energetycznego i pokrył dachy kolektorami słonecznymi, by zmieniać słońce w energię. Zdjął kamienne krzyże z 3 czerwonych kopuł katedry, a w ich miejsce zamontował turbiny z ruchomymi śmigłami na kształt litery Y, by przekształcać wiatr w elektryczność. Zostawił sobie jedną celę klasztorną do spania, drugą na swoje płótna, a pozostałą przestrzeń pozostawił otwartą dla gadów i dla ludzi, którzy spacerują po tym ogrodzie botanicznym, czując się jak u siebie.

Świątynia darwinowska, tak Ja nazywam to miejsce.

Czasami nie wystarcza nocą prądu wytwarzanego przez kolektory i turbiny, wszędzie jest ciemno i cicho, a słychać tylko trzeszczenie świerszczy. Napisał mi o tym malarz, a także o swoim sprytnym sposobie przetrwania tych ciemnych, długich nocy.

Wystarczy położyć się do łóżka i spać.

W tym czasie w Londynie aresztowano 5 podejrzanych typów. Wszyscy zarzekali się, że nie wiedzą, co to jest ARM ani tym bardziej True Blue Tuna, ale w mieszkaniu, które wspólnie zamieszkiwali, Interpol znalazł 3 kilogramy dynamitu, a w ich komputerze – ponad 100 wejść na stronę buildyourownbomb.com.

Inspektor Iñaki Belloso napisał do mnie z prośbą o narysowanie każdego z mężczyzn, którzy porwali mnie w Paryżu. Wysłałam mu portrety 5 panów w ciemnych okularach, zasłaniających im połowę twarzy.

Sfotografowano 5 podejrzanych w ciemnych okularach, znalezionych również w ich mieszkaniu, i przyłożono fotografie do moich rysunków. Były identyczne, jak napisał Belloso. Zdawałam sobie sprawę, że to przesada, metafora. Ale sędzia uznał, że moje rysunki są wystarczającym dowodem, żeby wsadzić ich za kratki.

Siedzą więc w areszcie w oczekiwaniu na proces, nie przyznali się do winy ani nie zdradzili nazwisk współników, którzy wysadzili moje

przetwórnice, i ogłosili strajk głodowy, bo serwowanie więźniom parówek i tłustego rosołu z kury to dla nich pogwałcenie praw człowieka, a przede wszystkim praw kur i świń, a tymczasem na stronie ARM pojawił się numer konta bankowego komitetu, którego celem jest codzienne dostarczanie im wegetariańskich posiłków.

Wpłaciłam 2 funty szterlingi.

W Caeiro znowu padało.

Gdy o to pytałam, powiedziano mi, że nie, to nie ten sam deszcz co 10 dni temu, od tamtego czasu przestało padać, wszyscy poszli na plażę albo na żaglówki, ale teraz deszcz powrócił.

Tak oto w moim hotelowym pokoju zaczęłam pisać tę książkę.

Książkę wystukiwaną na klawiaturze w rytmie padającego deszczu.

Kiedy ją skończę, poświęcę się rajom dla tuńczyków błękitnopłetwych, a gdy będą gotowe, wciąż będę miała przed sobą 22 lata życia, ale nie przeraża mnie to. Zostawić tuńczyki w spokoju, by mogły rosnąć i rozmnażać się, będzie bardzo prosto, a co zrobię z resztą czasu, jaki mi pozostanie, niech zadecyduje o tym moje ciało.

Tak jak ptaki śpiewają o świcie z nadmiaru energii, tak jak gałąź z nadmiaru soków wypuszcza zawiązkę owocu, a potem okrągłą cytrynę, tak samo i Ja muszę przysłużyć się jakoś planecie Ziemia.

A w którymś momencie, jak zbyt ciężka cytryna, która odrywa się od gałęzi i dojrzała spada na ziemię, i Ja upadnę na ziemię na skutek wylewu krwi do mózgu.

Gdy pisałam tę książkę, miałam kilka pomysłów, jak ją zarytułować.

1. *Ja i tuńczyk*, bo to my jesteśmy bohaterami tej opowieści.
2. *Ja, tuńczyk i ciotka*, bo byłoby miło zaprosić ciotkę do tytułu mojej książki.
3. *Jestem, więc (z trudem) myślę*, co opisuje moją kondycję, a zarazem przewagę nad ludźmi standardowymi.
4. *Niezwykły przypadek Ja*.
5. I wreszcie *Ja zanurzona w centrum świata*, chociaż ten tytuł nastrocza pewnych trudności:



a) Brzmi dziwnie, tak sędzę. Sama nie wiem, jest źle napisany czy co?

b) Nie ma nic wspólnego z tym, co dotychczas napisałam, a odnosi się do tego popołudnia na pełnym morzu, kiedy to połowa mojej głowy była już nad wodą i kiedy wymyśliłam 6. i ostatni etap jedyne go oryginalnego pomysłu, jaki miałam w całym swoim życiu. Nie opowiadałam dotychczas o tym doświadczeniu, bo to dla mnie wstydlive.

No ale cóż, w Caciro dalej pada deszcz, więc opowiem o tym dzisiaj. A jeśli chodzi o wybór tytułu książki, pozostawiam tę decyzję jakiemuś specjaliście od tytułów, bo na pewno gdzieś tacy są.

Skierowany do mnie komunikat ARM głosił:

Nasz rachunek jest prosty: 12 morderców zwierząt zginie, by do ludzkości dotarło, że jej zbrodnie nie są już dłużej bezkarne – 3 wiwisktorów, 3 naukowców dręczycieli, 3 wielkich handlarzy mięsem i skórami oraz 3 inżynierów uboju.

Droga Karen Nieto, teraz twoja kolej na śmierć.

Prawdę mówiąc, plan ARM wydał mi się przekonywający.

Przekonywający: zdolny pobudzić kogoś do zrobienia czegoś.

Pomyślałam: „Być może to najlepsza rzecz, jaką mogę zrobić dla tuńczyków i innych wielkich ryb morskich – umrzeć”.

Uklękałam przed kwadratem z białych kamyczków na grobie ciotki i zapytałam o jej zdanie. Ale nie miała mi do powiedzenia nic poza ciszą.

Postanowiłam więc sama wykonać wyrok ARM. Ostatecznie ciotka nie żyła, a Ja nie bardzo wiedziałam, po co mam dalej żyć.

Ubrana w strój do nurkowania wsiałam do motorówki, włączyłam silnik i po linii prostej ruszyłam w kierunku widnokręgu.

Na pełnym morzu założyłam na plecy pomarańczową butlę, wdziałam maskę, przygryzłam ustnik i rutynowo sprawdziłam wszystkie zegarki: miernik głębokości, czasu i ciśnienia butli tlenowej.

Już miałam ustawić alarm, który ostrzegłby mnie, że zostało powietrza już tylko na 5 minut, dzięki czemu mogłabym wrócić na powierzchnię, ale przypomniałam sobie, że przecież miałam się zabić, więc nie ustawiłam alarmu.

Usiadłam na brzegu łódki i rzuciłam się na plecy do wody.

Minęłam 1., turkusową warstwę wody.

Spadałam wciąż przez 2., zieloną warstwę.

Minęłam warstwę jasnoblękitną.

W warstwie ciemnoniebieskiej zamachałam płetwami i ruszyłam na poszukiwanie płaskiego kamienia.

Jak zwykle położyłam na nim głowę, czekając, aż moje ciało opadnie powoli na piasek. Zrobiłam głęboki wdech i wydech, a chmura srebrzystych pęcherzyków otuliła moją głowę w chwili, gdy uwolniłam się ze sfery myśli.

Rozpłynęłam się, zmieszałam z morzem, jak gdybym była kolejnym niebieskim kamieniem w niebieskim morzu.

Teraz kolej na tę część historii, którą wstydzę się opowiedzieć.

Powracało do mnie 1 zdanie:

„Śmierć niczemu nie służy”.

Słyszałam je jak cienki głos dobiegający z mojego wnętrza. Głos z piersi, a nie z głowy. Głos, który szybko zmieszał się z biciem mojego serca.

Złapałam się za serce i choć było ukryte pod skafandrem z neoprenu, czułam jego uderzenia, mocne i arytmiczne. Tak oto dotarły do mnie 2 rzeczy:

1. właśnie postanowiłam nigdy nie umierać

i

2. z technicznego punktu widzenia byłam akurat w trakcie zawału serca.

Jak gdyby na potwierdzenie, że tak właśnie było, ból przeszył moją klatkę piersiową i rozszedł się na całe ciało. Wciągnęłam powietrze przez ustnik, ale powietrze w butli już się kończyło.

Znów usłyszałam myśli dobiegające z serca:

„Cholera. Potrzebuję pomocy. Muszę zadzwonić po pogotowie. Albo zażyć przynajmniej 2 aspiryny. Ale przecież jestem na dnie morza. Cholera”.

Z trudem oderwałam głowę od płaskiego kamienia, uniosłam ją i zamachałam płetwami, łapiąc przez ustnik resztki tlenu, ale moje bezsilne ciało nie podnosiło się z morskiego dna, aż nagle stało się coś dziwnego.

Dryfując niespiesznie, zbliżył się do mnie obłok światła. A dokładniej, 40-centymetrowe stworzenie jarzące się światłem.

Stworzeniu towarzyszyła poświata, która rosła i malała dookoła jego świetlistego oblicza.

„Anioł” – pomyślałam, a ból przeszył mnie na wylot.

„To anioł topielców, o którym opowiadał mi Ricardo” – pomyślałam znowu.

„Do jasnej cholery, umarłam” – pomyślałam.

Anioł wyciągnął powoli w moją stronę jedną ze swoich świetlistych kończyn.

Podniosłam lewe ramię i opuszkami 2 palców dotknęłam ręki małego świetlistego anioła, który oplótł moje palce, a potem całą dłoń, gdy nagle wyładowanie elektryczne wstrząsnęło moim szkieletem.

I wszystko stało się lekkie.

Mały świetlisty anioł niósł mnie bez wysiłku ponad ciemnoniebieską warstwę wody, a w warstwie błękitnej prowadził mnie tunelem światła aż do warstwy zielonej.

Wtedy moje serce znów zaczęło bić mocno i nierówno, a ból znowu ogarnął mnie całą i pomyślałam:

„Brak tlenu wywołuje halucynacje. To, co widzą duszący się, to tylko halucynacje. Nim zabije je wystrzał sprężonego powietrza, tuńczyki łapią powietrze, a ich oczy poruszają się niespokojnie, bo mają halucynacje. A więc topię się i ten anioł to tylko halucynacja”.

Gdy tylko to pomyślałam, wszystko zaczęło powoli przybierać właściwe kształty.

Nie, to, przez co prowadził mnie za rękę mały anioł, to nie był tunel. To była prosta kolumna ostrego światła, które wpadało do wody i przez którego środek to Ja płynęłam ku górze, trzymając anioła za



rękę. I nie, to wcale nie anioł prowadził mnie na powierzchnię morza, tylko świetlista, i zapewne trująca, meduza o pulsującej głowie, która przywróciła mnie do życia poprzez wyładowanie elektryczne i która w żadnym wypadku mnie nie prowadziła, lecz raczej uciekała przede mną, machając za nią płetwami.

Wypuściłam biedną meduzę, która jednym szarpnięciem rzuciła się z powrotem na głębię, a Ja resztkami sił przebierałam nogami, aż w końcu moja głowa znalazła się nad powierzchnią wody.

Wyplułam ustnik, zdjęłam maskę, a to, co zobaczyłam, było bez wątpienia największym cudem, jaki ktokolwiek mógłby zobaczyć.

360 stopni turkusowego morza, a na niebie białe chmury torujące drogę słońcu, tej kuli ognia, z której padał na ziemię nie tunel, lecz stożek światła i malował morze wokół mnie na złoty kolor.

Cud: coś, co istnieje i już, bez żadnej przyczyny.

„Najdziwniejsze jest to – pomyślałam – że akurat Ja wyobraziłam sobie coś nadprzyrodzonego”.

Wzięłam głęboki oddech.

„Dziwne – pomyślałam – że ktoś miał potrzebę wymyślać anioła albo inną nadprzyrodzoną istotę, skoro sama rzeczywistość wypełnia wszystko”.

„Wszystko jest tam, gdzie jest, i jest tym, czym się wydaje”.

„Morze – pomyślałam – jest morzem. Słońce słońcem. A Ja jestem Ja”.

„I to jest cud, któremu nic nie trzeba dodawać”.

A jednak w myślach dodałam:

„Ja jestem Ja, ale nowe jest to, że Ja myślę z piersi. A nie z głowy.

Po raz pierwszy myślę z piersi, nie zamazując rzeczywistości, ani rzeczywistość nie zamazuje Ja.

To rzeczywistość myśli w Ja.

A to, co myślę, nie oddziela mnie od rzeczywistości”.

Czując, że mówię z głębi mięśnia sercowego, powiedziałam na głos:  
– Jaaaaaa.

„Sęk w tym – rozmyślała rzeczywistość w Ja – żeby nie zabijać”.

„Nie zabijać rzeczywistości ani nie pozwolić, żeby rzeczywistość zabiła Ja”.

Pomyślałam:

„Czy da się tak żyć?”

„Czy Ja może istnieć pośrodku wszystkiego innego?”

„W tym rzecz” – pomyślała rzeczywistość w głębi mojej piersi.  
w samym środku 360 stopni morza i słońca.

„Żeby nie zabijać”.

Zauważyłam moją motorówkę, czerwoną kropeczkę gdzieś na widnokręgu, a pod strojem do nurkowania poczułam pierwsze pieczenie po trującym poparzeniu meduzy.

Nad brzegiem morza, w białym domu w Mazatlán, w moim pokoju o jasnoniebieskich ścianach spędziłam 3 dni i 3 noce, wisząc nago w uprząży metr nad łóżkiem, cała w pęcherzach, od skóry głowy aż po podeszwy stóp, żeby wypocić tę przekłętą truciznę anielskiej meduzy.

Żeby ją wypocić i ustalić, jak utrzymać mój nowy stosunek do rzeczywistości.

Oto nakreślone przeze mnie wskazówki:

1. Skupiać się zawsze na sercu w piersi.
2. Słuchać, jak rzeczywistość myśli siebie we mnie.
3. Gdy rzeczywistość uwolni się od Ja albo Ja uwolni się od rzeczywistości – schwytać ją ponownie. Chwytać ją każdym zmysłem. To znaczy złapać rękami to, co jest blisko, na przykład łańcuch uprząży. Uważnie wachać i słuchać tego, co jest blisko, na przykład morza za oknem. Obserwować cierpliwie rzeczywistość, na przykład morze, niebo, horyzont, cokolwiek, co jest blisko. To jest podłączyć się każdym zmysłem swojego ciała z powrotem do rzeczywistości.

Obudziłam się któregoś dnia bez pęcherzy, ale za to wściekle głodna. Odblokowałam uprząż, spadłam na materac, wstałam z łóżka i ubrałam się.

Spakowałam do torby białą koszulkę i dzinsy na zmianę, elektryczną maszynkę do strzyżenia, maszynkę do golenia i komórkę,

szczoteczkę do zębów i laptop, czyli cały mój niezbędnik, i udałam się do szpitala.

Lekarz z ostrego dyżuru podał mi nad biurkiem 2 czarno-białe zdjęcia mojego serca.

– Proszę sobie porównać – rzekł. – Jedno jest sprzed 10 lat, a drugie z dzisiaj. Jak pani widzi – ciągnął doktor – prawy przedsionek jest powiększony. Tak jak pani twierdzi, to musiał być ostry zawał mięśnia sercowego na skutek przeciążenia stresem, które spowodowało zator w żyłę głównej górnej. Prawy przedsionek intensywnie pracował i jakimś cudem udrożnił żyłę główną górną, która włączyła się z powrotem do krwiotoku, ale na skutek tego wysiłku pani serce, jak już mówiłem, jest powiększone.

Doktor miał napuchniętą, czerwoną twarz i nosił okragłe okulary w metalowych oprawkach.

– Nie „jakimś cudem”. Na skutek porażenia prądem przez meduzę. Twarz doktora zrobiła się jeszcze bardziej czerwona, a potem pojawiła się na niej wściekła mina. Wyjął mi spomiędzy palców 2 zdjęcia mojego serca, wstał i nakazał:

– Proszę za mną. Zrobimy pani próby wytrzymałościowe, żeby stwierdzić, jaki jest pani stan fizyczny, i zapisać pani odpowiednie leki.

Wyszliśmy z jego gabinetu na długi biały korytarz, a doktor ruszył przed siebie zdecydowanym krokiem, podczas gdy Ja, starając się nie hałasować, zrobiłam w tył zwrot na gumowych podeszwach moich żółtych butów i wsiadłam do windy, która zawiozła mnie na szpitalny parter.

Ja jestem moim stanem fizycznym, po co mi jakieś próby, żeby poznać mój stan fizyczny?

Czułam się bardzo dobrze, nawet z tym powiększonym sercem między żebrami, i tyle.

W kawiarni na lotnisku zjadłam na śniadanie 8 jogurtów naturalnych z miodem. Łyzeczka po łyżeczce i z głębi mojego powiększonego prawego przedsionka obmyślałam plan, który miałam zamiar przedstawić mojemu wspólnikowi Gouldowi, plan, który, jak sądziłam, bardzo mu się spodoba.

I w ten oto sposób dopełniła się moja wielka idea, której wymyślenie zajęło mi całe moje dorosłe życie.

W Caciro już nie pada.

Poranne słońce jest bardziej żółte niż kiedykolwiek i skrzy się w warstwie wody, która wciąż jeszcze zalega na ulicy. Ludzie wychodzą z domów, by podjąć swoje zasadnicze działanie, a mianowicie rozmowy z innymi, co robią bardzo donośnie, obejmując się, podając sobie ręce i poklepując się po plecach, jak gdyby chcieli się upewnić, że nie zniknęli w czasie potopu.

Dzieci z plecakami, chlup chlup chlup, chodzą po kałużach, chlup chlup chlup, a między nimi mały autysta z wędką na ramieniu, chlup chlup chlup. Czarne jaskółki zlatują z czerwonych dachów na przemoczoną trawę, konkurując z gołębiami w wydziobywaniu z ziemi dżdżownic i wariując z głodu, bo nie jadły przyzwocie przez wszystkie deszczowe dni i noce.

Pierwsze statki kierują się kanałami w stronę targowiska, a pod wodą pierwsze czerwone karpie płyną w kierunku przeciwnym do morza.

Morze na horyzoncie jest jak smuga srebra, w turkusowym raju True Blue Tuna tuńczyki jedzą na śniadanie małe żółte rybki, a na mojej okiennicy przysiadła czerwony ptaszek z czarnymi skrzydłami – rudzik.

I świszcz.

Świ świ świ świszcz.

A Ja kończę pisać tę książkę.

Za pozwoleniem, pójdę po szklankę wody.

